Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 34 (1874) ● 21–27 sierpnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 059cca5cd1

WOJNA DOMOWA

Nie macie wrażenia, że Mateusz Morawiecki cierpi na zaburzenie opisane w poppsychologii jako „syndrom Jekylla-Hyde'a"? Psychiatria nazywa to „zaburzeniem dysocjacyjnym tożsamości", ale nie posuwajmy się aż tak daleko, w końcu nikt tu nie jest psychiatrą. Otóż ten sam Mateusz Morawiecki, który chciał budować umiarkowane, proeuropejskie, antyczarnkowe i generalnie cywilizowane płuco PiS – do tego stopnia, że wyleciał z partii wraz z gronem towarzyszy – teraz buduje narrację, która jest na prawo od Bąkiewicza. We wtorkowy wieczór Morawiecki wezwał żurnalistów nad Wisłę, żeby pokazać, że Polska jest bezpieczna, ale on zrobi tak, żeby była „najbezpieczniejszym państwem świata". Dlatego jego nowy rząd powoła „ministerstwo do spraw migracji i asymilacji", które będzie wcielać w życie zasadę „totalnej brutalnej asymilacji". Polacy mają doświadczenia z dwoma typami „totalnej brutalnej asymilacji": rusyfikacją i germanizacją. Asymilacja jest to proces wykorzeniania, likwidacji jednej tożsamości i zastępowania jej drugą. Jest celowym gwałtem na kulturze, tradycji, języku, jakiejkolwiek odrębności mniejszości. Słowem, którego należałoby tu użyć, jest „integracja" – włączanie przedstawicieli mniejszości do nowego społeczeństwa, z poszanowaniem ich kultury i tradycji. Problem polega na tym, że nie da się mówić o „brutalnej integracji". Co – jak podejrzewamy – Mateusz Morawiecki, jako historyk z wykształcenia, wie znakomicie. Co czyni go jeszcze bardziej winnym. Demenckie bajdurzenie prezesa o pasożytach i pierwotniakach w organizmach uchodźców było obrzydliwe, ale bardziej żałosne. Mateusz Morawiecki nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.

Wieść medialna niesie, że Szymon Hołownia postanowił wrócić z emigracji wewnętrznej, skleić pękniętą partię, wkroczyć do rządu, objąć nie tylko stanowisko Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, ale także wice-Tuska. Między wierszami komentatorzy sugerują, że już nawet Hołownia – zdrajca, który nie tylko zjadł kolację z Kaczyńskim, ale i zaprzysiągł Nawrockiego – będzie przez Tuska lepiej widziany niż Pełczyńska. Premier nieszczególnie dementuje to pogłoski. Zapytany o plany wobec ministrzycy, odrzekł z godnością: „Swoje uwagi na temat pracy pani minister Pełczyńskiej skierowałem do niej w osobistej rozmowie, i także na posiedzeniu rządu, ale ja nie należę do tych premierów, którzy narzekają na swoich ministrów na konferencjach prasowych, tylko wtedy, kiedy uważam, że trzeba dokonać zmiany, to dokonuję tej zmiany". Po czym dodał stanowczo: „Nie spodziewajcie się takich zmian w sierpniu". I powtórzył, z naciskiem, pełnym zdaniem: „Nie spodziewajcie się takich zmian w sierpniu". Było to 19 sierpnia.

Marcin Romanowski objawił się – w formie pisemnego wniosku o list żelazny – z Tyraspola, czyli stolicy Naddniestrza. Władza opracowała w tym temacie „przekaz dnia" – który słowo w słowo powtórzyli z rana minister Kierwiński, a po południu premier Tusk: ucieczka Romanowskiego do strefy rosyjskiej „świadczy nie tylko o nim, ale o całej formacji politycznej". Obaj wypadli zresztą nieco blado przy złotoustej gwieździe lewicy, pośle Treli, który ogłosił, że ucieczka Romanowskiego „uderza w jego patrona politycznego, czyli Jarosława Kaczyńskiego; przypomnijmy: Marcin Romanowski jest cały czas członkiem PiS i to on uciekł pod but, pod ten bucior, brudny bucior Putina"… Przyglądaliśmy się butom Putina i są znacznie lepiej wyczyszczone niż adidaski posła Treli, ale ważniejsze jest co innego. Otóż po tym, jak szef rządu ogłosił, iż „służby innych państw potwierdziły nam informacje, że pan Romanowski znajduje się na 99 proc. w Naddniestrzu" – adwokat Romanowskiego, Bartosz Lewandowski, odparł, że skoro sam premier potwierdza, że Romanowski znajduje się poza terenem Unii Europejskiej, to europejski nakaz aresztowania powinien zostać uchylony. Tak na nasze oko: szach.

Ryszard Petru, d. Nowoczesna, d. Teraz!, d. Polska 2050, d. Klub Centrum, wyrusza na „pewnego rodzaju tour po Polsce", aby zbudować nową partię. Dla Petru zakładanie partii jest bowiem jak dla innych rzucanie palenia: bardzo proste, robił to już wiele razy. Humorystyczny wymiar politycznych wysiłków p. Petru nie przesłania wszakże faktu, że nawet on widzi, że z działaniami rządu jest coś nie halo. Jak skomentował zapowiedziane przez rząd przywrócenie odgórnych obniżek cen paliw na ostatnie dwa tygodnie wakacji: „Program CPN ma tę wadę, że im ktoś jest bardziej bogaty, tym więcej jeździ i tym więcej państwo do niego dopłaca". Kiedy Ryszard Petru atakuje z lewa rząd z udziałem lewicy – to czas przemyśleć całe swoje postępowanie, towarzysze.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Sierpień 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH





Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Evtarda

W swojej „Mea pulpa" („Polityka") geniusz Kuba Wojewódzki pisze o ludziach, których nie znam, a pomimo to śmieszy mnie nimi.

Nr 34. Osoby, których nazwiska coś mi mówią, w kolejności ich występowania: Kuba Wojewódzki, Jarosław Kaczyński, Zbawiciel jako plac, Jarosław Gowin, Artur Zawisza, Edyta Górniak.

Osoby, których nazwiska nic mi nie mówią, w kolejności występowania: Magdalena Żuraw, Piotr Mieśnik, Agnieszka Perepeczko, Michał Olejnik, Jacek Gmoch, Kazimierz Górski, Monika Góralewska, Rafalala, Kasia Tusk, Maciej Rock, Magdalena Mielcarz, Justyna Steczkowska i Ryszard Tymon Tymański.

Należy z tego wyciągnąć wniosek, że osoby takie jak ja, lat 80 i więcej, samowykluczają się ze społeczeństwa. Oczywistą tego konsekwencją powinno być pozbawienie nas emerytur, praw wyborczych, uprawnień do korzystania z lecznictwa i komunikacji publicznej oraz prawnej ochrony życia. Żydzi i kombatanci nie powinni stanowić wyjątków.

Świętego Armela

W tej samej „Polityce" napisano, że Bóg istnieje; jest otóż matematyką. Potęguje to we mnie obcość Boga, ale niezupełnie, bo korzystam z matematyki. Potrafię liczyć pieniądze.

Świętego Hiacynta

Czyż wilki – przodkowie pudla Azora – mogły choćby marzyć, że w klinice akademickiej ich potomka Azora zbada na komputerze psi endokrynolog? USG i badanie krwi wykażą niedoczynność tarczycy. Weterynarka pierwszego kontaktu otrzyma mailem wytyczne do leczenia. Z USA przyślą zaś lek oparty na syntezie składników naturalnych, żeby pudel nie brał chemii. Prawilki wyły, wyły, aż się dowyły.

Świętego Ewdesa

Marszałkini Kopaczka do pierwszego czytania skierowała obywatelski projekt ustawy o usunięciu ze szkół edukacji seksualnej. Za pokazywanie prezerwatywy ma grozić więzienie, a naciąganie jej w klasie na sztucznego penisa karane ma być tak jak molestowanie seksualne. Kary przewiduje się za zachęcanie niemowląt do masturbacji, a dzieci starszych – do zabawy w doktora. Poseł Żalek uważa niektóre objawy edukacji seksualnej za kształcenie pedofilii. Prezes komitetu walki z edukacją seksualną porównuje pokazywanie młodzieży prezerwatyw do częstowania narkotykami. Nauczanie o praktykowanym niepokalanym poczęciu ma pozostać bezkarne.

Świętego Bernarda

Wczoraj w nocy Daniszewska wierciła się, wzdychała, budziła w naszej małżeńskiej łożnicy elektronicznie sterowanej. Podjąłem więc wobec niej „inne czynności seksualne", jak to ujmuje kodeks karny. Obiecałem, że zaraz rano podejmę z banku dla niej pieniądze. Zaspokojona usnęła.

Świętego Christophera

Na widok koperty z orłem drżę ze strachu, chociaż ornitolodzy ustalili, że herb Polski to żaden orzeł, tylko pospolity bielik, jakiś ptasi gównojad. Ptak oznacza, że czepia się mnie prokuratura lub sąd. Konsternuje mnie ciągnący się proces byłego ministra Nowaka o zatajenie zegarka. Biegły zeznał na korzyść oskarżonego: uznał zegarek za wart mniej niż 10 tys. zł obligujące posła do wpisania przedmiotu w skład posiadanego majątku. Przypuszczał bowiem, że zegarek jest kradziony. Domniemanie, że politycy kradną zegarki lub kupują kradzione sikory, stanowi widać ich linię obrony przed sądem. Idziesz na posiedzenie rządu, zostaw w domu zegarek, to koledzy nie będą mieli pokusy.

Świętego Fabrycego

Biznesmen Edward Mazur, obwiniany o obstalowanie mordu generała policji Papały, siedział za to w USA ścigany polskim listem gończym. Uznany został za bezpodstawnie oskarżonego przez amerykański, a potem polski wymiar sprawiedliwości. Sądzę, że należą mu się uroczyste przeprosiny i rządowe zaproszenie do Polski. Przy okazji sprawy Mazura PiS konstruowało postkomunistyczny układ mafijny i ogłaszało jego groźne istnienie na podstawie kontaktów towarzyskich Mazura. Antykomunistom krzyczącym o spisku Kwaśniewskiego, Millera i innych ani do głowy przyjdzie publicznie teraz odszczekanie. Nie istnieją przestępstwa, których czerwoni nie popełnili, lecz tylko takie, jakich nie udało się wykryć. Matka małej Madzi mogła być resortowym dzieckiem.

Świętej Rosy

Zamiast chodzić na horrory i SF do kina, taniej jest kupować „Gazetę Polską" (4,50 zł), to i pluskiew do domu się nie naniesie. Nr 34 straszy: „Bestie Putina mordują na Ukrainie". Co prezydent Komorowski miał wspólnego z jadem powodującym zawał? „Kobieta z poderżniętym gardłem, ojciec tulący swe bezgłowe dziecko. Dżihadyści (…) jutro już mogą być w Berlinie, Londynie, Paryżu" (to straszenie antyemigracyjne). „Ofiarą ustępstw [wobec Rosji] padnie niepodległość Polski (to Sakiewicz). „Kałuża krwi, rozerwane wnętrzności, rozgniecione kończyny, część ciał czarna, spalona…". Chodzi Lisiewiczowi o to, że ciała pasażerów zestrzelonego malezyjskiego samolotu potraktowane zostały podobnie jak ciała Polaków w Smoleńsku. „Wydłubywanie oczu i odcinanie języków". Major BOR Marek K. przed śmiercią potrącony został przez samochód. „Jak PO zabrała darmowe leki emerytom". Szef niemieckiego kontrwywiadu ostrzega Polaków: chcąc ustrzec się przed podsłuchami, załatwiaj sprawy w rozmowie osobistej. „W dyplomacji Sikorskiego pracuje 131 byłych agentów PRL". Katarzyna Gójska-Hejke zapowiada, że po Ukrainie Moskwa weźmie Polskę na celownik, bo „roztrwoniliśmy wolnościowy potencjał państw naszego regionu". Poza tym groźne są: ebola, gender, Tusk, feminizm, tęcza, homoseksualizm, siły walczące z Kościołem, prezerwatywy, edukacja seksualna. Dobre jest in vitro, ale tylko dla cieczy z jabłek.

Świętej Rosy cd.

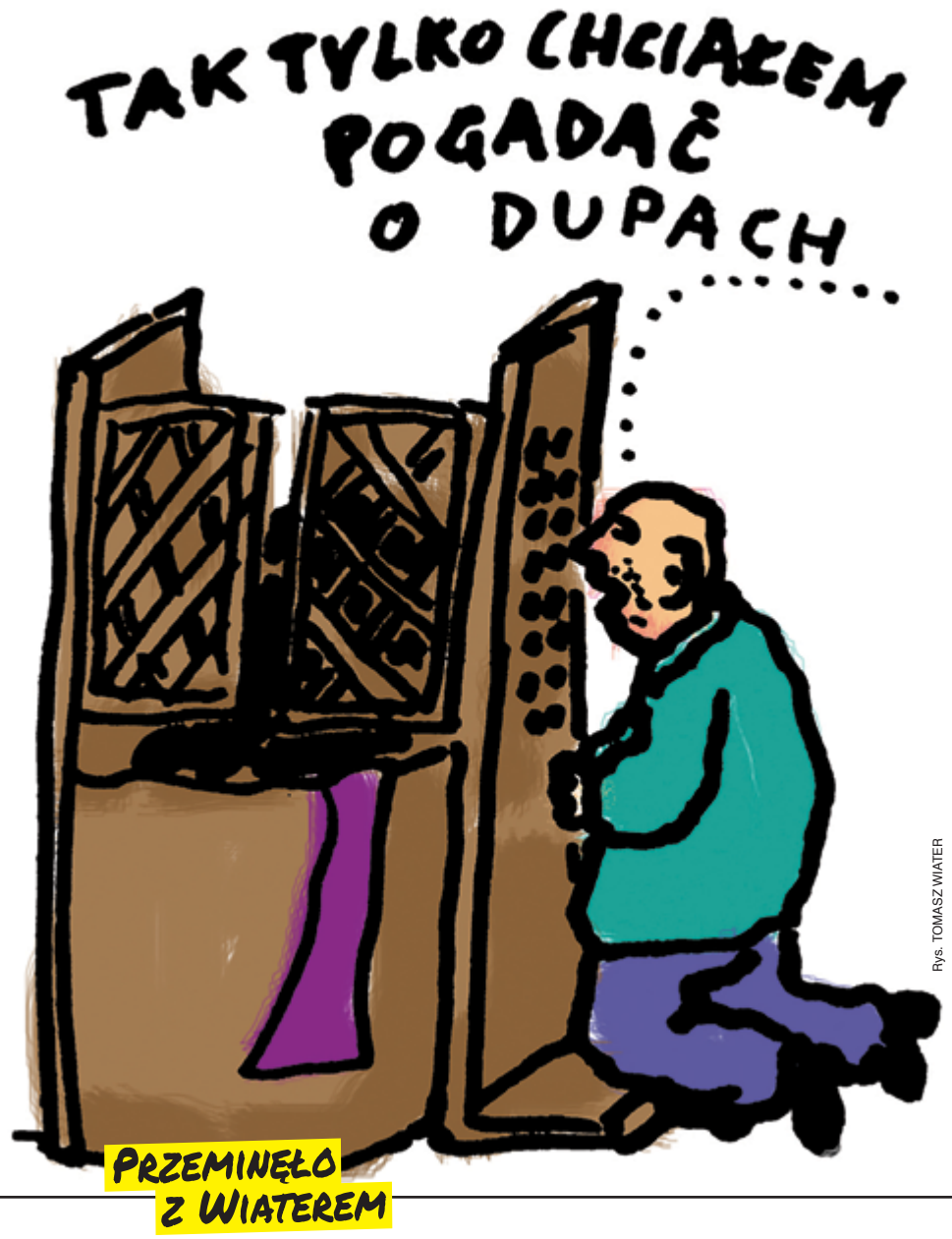
Ewa Stankiewicz, reżyserka filmów pisowskich: „Miliony Polaków zobaczyły film sugerujący, że Rosjanie dobijają pozostałych przy życiu obywateli polskiego państwa, którzy przeżyli katastrofę samolotu pod Smoleńskiem". Ponieważ Rosjanie to dzicz – wywodzi reżyserka – potrzebne są pieniądze na następne takie filmy.

Świętego Bauthelma

Miewam sny satyryczne. Śniło mi się, że woźny obezwładnia mnie, żeby nie wpuścić do jakiejś nieokreślonej pracy. Powodem jest zarządzenie, że pracownicy państwa i jego spółek muszą nosić spódnice jako symbol równości płciowej. Na korytarzach TVP szeleszczą tymczasowe papierowe spódnice. Jak Azora kocham, snu tego nie zmyślam.

Św. Bauthelma cd.

Byłem w Berlinie zaraz po zjednoczeniu Niemiec. Na głównych ulicach stali Rosjanie rozstawieni gęściej niż latarnie. Zdobywcy Berlina lub ich dzieci sprzedawali radzieckie czapki wojskowe, ordery, emblematy. Oto prawdziwy koniec II wojny – pomyślałem i powiedziałem. Dziś Putin zapewnia rodakom psychologiczny odwet za tamte upokorzenia. ❑



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

W objęciach węgla

Odnosząc się do artykułu pani redaktor Anny Grodzkiej pt. „Łapy precz od rozumu" („NIE" nr 33/2026), skądinąd ciekawego, to myślę, że zabrakło w nim istotnej sprawy. To porównanie, ilu pracowników potrzeba do wyprodukowania 1 MW mocy energii elektrycznej. W przypadku energetyki węglowej ta liczba może sięgać kilkudziesięciu osób. Bo to nie tylko górnicy, bo aby oni mogli fedrować, wokół kopalni jest cały szereg przedsiębiorstw produkujących, choćby kilofy i łopaty, a także całą infrastrukturę potrzebną do wydobyć węgla na powierzchnie. Transport do elektrowni wymaga zatrudnienia rzeszy kolejarzy. W samej elektrowni węgiel trzeba spalić, wytworzyć parę, skierować ją na łopatki turbiny, która w końcu poruszy generator prądu. To też wymaga pracowników, nie tylko tych w bezpośredniej obsłudze, ale tych, którzy produkują wszystko to, co zapewnia funkcjonowanie elektrowni. Skądinąd z elektrownią atomową sprawa jest podobna, bo przecież uran nie leży na ulicy, a do tego dochodzi zagrożenie radiacyjne.

W przypadku fotowoltaiki sprawa jest niebywale prosta. Wystarczy płyta szklana pokryta krzemem wystawiona na słońce, trochę nieskomplikowanej elektroniki, przewody i tyle. W zasadzie jest to technologia bezobsługowa, tym razem internet podaje, że do wyprodukowania 1 MW potrzeba 0,5 do 7 pracowników. Gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sprawić, by zniknęły kopalnie i elektrownie węglowe, byłby to nie lada problem: co zrobić z armią pracowników już niepotrzebnych? I to jest, myślę, przyczyna, dla której tak kurczowo trzymamy się energetyki węglowej.

Jerzy Dryzek

eprasa.pl 059cca5cd1

Ile tak naprawdę Kaja kosztuje Władimira

Kallasowe biliony


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kaja Kallas, zwana humorystycznie szefową unijnej dyplomacji, zapowiedziała w opublikowanym 17 sierpnia wywiadzie dla niemieckiego „Die Welt", że najbliższa jesień okaże się dla Federacji Rosyjskiej druzgocąca – i to ostatecznie. UE przygotowuje bowiem największe od początku wojny w 2022 r. rozszerzenie unijnych list sankcyjnych wobec Rosji.

Największy w historii

Akcja propagandowa była dobrze przygotowana. Euroatlantyckie jaczejki w mediach społecznościowych odpaliły w poniedziałek z samego rana tsunami pochwalnych okrzyków i westchnień. Odpaliły też narrację, jakoby Europa szykowała „największy pakiet sankcji w historii", mnożąc i potęgując emocje wśród wirtualnej gawiedzi wyczekującej już od czterech i pół roku rychłego upadku Rosji. Tymczasem, według obecnie dostępnych informacji, nie chodzi o nowy szeroki pakiet sankcji sektorowych, lecz przede wszystkim o gigantyczne rozszerzenie spisów osób, przedsiębiorstw i organizacji objętych sankcjami.

Według deklaracji wyłożonych w wywiadzie UE oczekuje imponujących strat po stronie rosyjskiej, jeśli zapowiedź ta zostanie zrealizowana. Kallas twierdzi, że po przyjęciu propozycji przygotowywanych pod jej kierownictwem łączna liczba podmiotów objętych sankcjami wzrosłaby za jednym zamachem aż o jedną trzecią.

Co ciekawe, Bloomberg i Reuters twierdzą, że dotychczasowa lista ma zostać uzupełniona aż o 1600 nowych podmiotów. Mamy więc rozbieżność matematyczną. Skoro obecnie unijnymi sankcjami objętych jest blisko 3 tys. osób i podmiotów, dodanie kolejnych 1600 oznaczałoby wzrost nie o jedną trzecią, lecz o ponad połowę. Możliwe, że Kallas oraz źródła Bloomberga i Reutersa posługują się różnymi kategoriami lub odmienną matematyką.

Głównym celem nowych obostrzeń mają być osoby i przedsiębiorstwa związane z rosyjskim kompleksem wojskowo-przemysłowym. Przewidywane działania to zamrożenie aktywów, zakazy podróży oraz zakazy dokonywania transakcji.

Ekspresem

Według źródeł Reutersa EEAS – Europejska Służba Działań Zewnętrznych; unijny MSZ, któremu szefuje Kallas – zamierza przedstawić listę państwom członkowskim na początku września, a celem jest jej ekspresowe przyjęcie już w październiku. Nazwisk ani nazw przedsiębiorstw, choćby przykładowych, ani Kallas, ani nikt inny nie wskazał. Nie ma też na razie opublikowanego projektu nowych list ani konkretnej daty ich wdrożenia.

Kallas oczywiście szafuje frazesami: „Presja musi wzrastać tak długo, jak Moskwa nie zakończy tej wojny!". Cały wywiad to właściwie leksykalne i składniowe wariacje tego dość już zdartego przesłania, które można obecnie zamówić w dowolnym asystencie AI.

Ciekawi jednak osobliwy pośpiech UE i oprawa mająca przydać rozszerzaniu tych list jakiejś syntetycznej powagi; w prestiżowym niemieckim publikatorze anons przedkłada oto „europejska ministra spraw zagranicznych".

Tymczasem poprzedni 21. pakiet unijnych sankcji przeciwko Rosji został przyjęty mniej niż miesiąc wcześniej – 23 lipca 2026 r. Na listy sankcyjne wpisano wówczas 218 nowych podmiotów – 48 osób oraz 170 organizacji i przedsiębiorstw. Do tego Unia objęła restrykcjami kolejnych 41 statków zaliczanych do rosyjskiej floty cieni, czyli jednostek wykorzystywanych przede wszystkim do obchodzenia ograniczeń dotyczących eksportu rosyjskiej ropy i produktów naftowych, często funkcjonujących poprzez nieprzejrzyste struktury własności, zmiany bandery i inne mechanizmy utrudniające ustalenie ich rzeczywistej przynależności. Sankcjami objęto także 33 rosyjskie instytucje finansowe, cztery banki z państw trzecich oraz 14 zagranicznych platform i innych podmiotów świadczących usługi związane z kryptoaktywami.

Po przyjęciu tego pakietu łączna liczba osób i podmiotów objętych unijnymi sankcjami związanymi z wojną na Ukrainie zbliżyła się do 3 tys. Zapowiedziane rozszerzenie pocztu obłożonych sankcjami o kolejne 1,6 tys. pozycji wydaje się więc co najmniej zastanawiające. Jeżeli po 21 pakietach sankcji i wpisaniu na listy blisko 3 tys. osób i podmiotów Bruksela jest w stanie wskazać jeszcze 1600 kolejnych, których objęcie restrykcjami przedstawia jako potencjalnie druzgocący cios w rosyjską machinę wojenną – nasuwa się kilka dość oczywistych pytań.

Pakiet przetrzebiony

Jaki jest rzeczywisty ciężar gospodarczy tych podmiotów? Jaką rolę odgrywają one w rosyjskim kompleksie wojskowo-przemysłowym i międzynarodowym obrocie gospodarczym? I dlaczego – jeśli są tak istotne – pozostawały poza unijnymi sankcjami przez poprzednie niemal pięć lat?

Dopóki listy nie zostaną przedstawione, nie sposób na te pytania odpowiedzieć. Sama liczba 1600 wydawać się może imponująca, ale niczego nie mówi o rzeczywistej wadze ekonomicznej nowych sankcji. Poza tym pomiędzy zapowiedzią Kallas a faktycznym działaniem pozostaje jeszcze pewien drobiazg instytucjonalny.

Nowe sankcje – czy rozszerzenie dotychczasowych – wymagają jednomyślności wszystkich 27 państw członkowskich. A doświadczenie z poprzednim 21. pakietem jest z punktu widzenia Kai Kallas raczej mało optymistyczne.

Pakiet ów przyjęto dopiero 23 lipca po kilku miesiącach negocjacji, podczas których pierwotne propozycje zostały gruntownie przetrzebione. Najbardziej konsekwentnie protestowała Grecja, broniąc interesów swojego potężnego sektora żeglugowego. Ateny nie chciały zgodzić się na zakaz świadczenia przez europejskie firmy usług związanych z transportem rosyjskiego LNG do państw trzecich. Grecki Dynagas obsługuje projekt Jamał LNG m.in. za pomocą siedmiu specjalistycznych gazowców klasy Arc7, zdolnych do całorocznej żeglugi, również w warunkach arktycznych.

Ostatecznie wprowadzono derogację, o którą zabiegała Grecja, pozwalającą na dalszą obsługę części transportu rosyjskiego LNG do odbiorców poza Unią. Zamiast natychmiastowego pełnego zakazu sprzedaży Rosji gazowców LNG wprowadzono obowiązek informowania o takich transakcjach, pozostawiając decyzję o ewentualnym pełnym zakazie na później.

Na tym jednak nie koniec. Z pakietu wypadł proponowany zakaz importu rosyjskich ryb, któremu sprzeciwiały się przede wszystkim Niemcy i Portugalia. Po raz kolejny nie udało się również wpisać na listę sankcyjną patriarchy moskiewskiego Cyryla – tutaj kategoryczny sprzeciw wyraził rząd Bułgarii. Sofia blokowała też zakaz wjazdu do Unii dla rosyjskich żołnierzy i byłych żołnierzy uczestniczących w specjalnej operacji wojskowej. Przeciwko takiemu rozwiązaniu występowały także państwa śródziemnomorskie zainteresowane utrzymaniem rosyjskiej turystyki. Przyjęto jedynie deklarację umożliwiającą radzie wprowadzenie takiego zakazu w przyszłości.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Duża bańka

Innymi słowy, Kallas może przygotować najbardziej imponującą listę sankcyjną od 2022 r., ale przeprocedowanie jej w niezmienionej postaci przez 27 rządów z pewnością nie będzie łatwe i trudno sobie wyobrazić, że uda się to załatwić w dwa miesiące. Tym bardziej jeśli ma to być aż 1600 nowych podmiotów. Być może właśnie dlatego – jak pisze Reuters – przygotowywana na jesień operacja ma się koncentrować na indywidualnych wpisach, bez nowych szerokich sankcji sektorowych, co miałoby zwiększyć szanse na szybkie uzyskanie jednomyślności.

No i na deser mamy jeszcze bombastyczne stwierdzenie Kallas, jakoby dotychczasowe sankcje Zachodu pozbawiły rosyjską „machinę wojenną" ponad biliona euro. Nie bardzo wiadomo, skąd wzięła się ta suma.

Wygląda na to, że poza wypowiedziami „szefowej unijnej dyplomacji" na ten temat nie ma żadnych źródeł. Na stronach Rady Unii Europejskiej publikacje – jak choćby ta z 15 czerwca („sankcje kosztowały już Rosję od jednego do 1,3 bln euro") – powołują się w tym zakresie jedynie na jej wypowiedzi. Kilka dni wcześniej Kallas mówiła z kolei o 1,2–1,5 bln dol.

Jednak nawet jeśli założyć, że te szacunki są jakkolwiek prawdziwe, problem zaczyna się, gdy postawimy pytanie, co właściwie oznacza stwierdzenie, że sankcje „kosztowały Rosję" ponad bilion euro.

Bo Unia publikuje całkiem sporo konkretnych danych mających dowodzić skuteczności sankcji. Według Komisji Europejskiej płatności państw UE za rosyjską energię były w 2025 r. o 85 proc. niższe niż w 2021 r. Eksport Unii do Rosji spadł w tym samym porównaniu o 66 proc., a import aż o 83 proc. Ponoć ponad dwie trzecie płynnych aktywów rosyjskiego Funduszu Dobrobytu Narodowego zostało od początku wojny zużyte, a w pierwszym kwartale 2026 r. rosyjski PKB skurczył się o 0,2 proc. Komisja prognozuje obecnie wzrost rosyjskiego PKB na poziomie 1,3 proc. w 2026 r. i 1,1 proc. w 2027 r.

Policzmy...

To są wskaźniki, o których można dyskutować, porównywać je z rosyjskimi statystykami i zastanawiać się nad związkiem przyczynowym pomiędzy sankcjami a kondycją rosyjskiej gospodarki. Z kallasowym bilionem jest jednak inaczej. W żadnym z oficjalnych materiałów unijnych, do których udało mi się dotrzeć, nie znalazłem rachunku pokazującego, jak z tych danych wyprowadza się kwotę od 1 do 1,3 bln euro.

Co właściwie należałoby do takiego rachunku wliczyć? Niesprzedaną do Europy ropę i gaz? Ale przecież znaczna część tych surowców została sprzedana gdzie indziej, choć często z dyskontem. Utracony eksport? Przecież wartość niezrealizowanego eksportu nie jest tym samym co strata. Zamrożone rosyjskie aktywa? Tylko że zamrożenie aktywów nie oznacza jeszcze ich przepadku. Wyższe koszty importu technologii przez pośredników? Dyskonto na rosyjskiej ropie? Koszty obchodzenia sankcji? Utracone inwestycje zagraniczne? Wolniejszy wzrost gospodarczy?

A przede wszystkim – względem czego właściwie liczymy tę stratę? Żeby powiedzieć, że sankcje „kosztowały" Rosję bilion euro, trzeba przecież najpierw oszacować, jak wyglądałaby rosyjska gospodarka od 2022 r., gdyby sankcji nie wprowadzono. To już nie jest statystyka, tylko model kontrfaktyczny, którego wynik zależy od przyjętych założeń. Nigdzie takiego modelu nie uświadczyłem.

Niemądre byłoby twierdzenie, że sankcje Rosji nic nie kosztowały. Oczywiście kosztowały – i część tych kosztów można udokumentować. Jednak stwierdzenie, że sankcje odjęły Rosji 1,3 bln euro, należałoby poprzeć dokładnymi wyliczeniami i przedstawić ich metodologię. Niczego podobnego nie ma w publicznie dostępnych materiałach ani Rady Unii Europejskiej, ani Komisji Europejskiej, mimo że obie te instytucje unijne powtarzają podawaną przez Kallas kwotę.

BOJAN STANISŁAWSKI

eprasa.pl 059cca5cd1

Obejrzałem erygowanie Matki Boskiej Karkoskiej

Za 300 lat od teraz



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zapewne nie wszyscy mieli sposobność, więc w zastępstwie narodu w minioną sobotę udałem się do Konotopia, aby na własne oczy zobaczyć odsłonięcie Matki Boskiej Miłosiernej. Wygląda jak Godzilla i waży jak Godzilla: 40,6 m wzrostu, a wraz z cokołem – 55,6. Do jej ulepienia zużyto 57 tys. ton betonu, czyli nieżywej wagi. Tym samym Świebodzin ze swoim Chrystusem (36 m) i Rio de Janeiro (38 m) mogą się schować w cieniu konotopskiej potęgi. Nawet rzeszowski Pomnik Czynu Rewolucyjnego (38 m) wygląda przy niej jak niedożywiony krasnal ogrodowy.

Całość kosztowała podobno około 100 mln zł, które wyłożył miliarder Roman Karkosik – właściciel majątku szacowanego, zależnie od źródła i fantazji rachmistrza, na od 1,96 do 6,5 mld zł, dorobionego początkowo między innymi na ważeniu piwa i płynu Borygo, a później już na znacznie poważniejszym mieszaniu kapitału.

Betonowy bilet do nieba

Roman Karkosik to postać o temperamencie i życiorysie równie porywającym co instrukcja obsługi betoniarki. Od pół wieku uprawia ten sam rytuał: rano pakuje się w Mercedesa, daje się dowieźć do Torunia, tam w biurze przerzuca papiery z kupki na kupkę i wraca do pałacu w Kikole. Dzień w dzień, rok w rok. Jedyną zmienną w tej egzystencjalnej nędzy jest liczba zer na kontach, ale do zer – jak do wszystkiego – człowiek z czasem przywyka i przestaje je zauważać. Nuda. Można by ją butelkować i sprzedawać jako środek nasenny.

Ostatnio pochował dwóch braci, wcześniej przeżył traumę z porwaniem bratanka – krótko mówiąc, matkoboskie miłosierdzie omijało go, chyba że za jedyny przejaw boskiej łaski uznamy stan posiadania, który pozwala kupić pół województwa wraz z inwentarzem.

I tu trzeba sobie zadać to marksistowskie pytanie: dlaczego? Otóż, jak donieśli zaufani informatorzy, Matka Boska Karkosikowa skonstruowana została tak, aby przetrwać 300 lat. Jej okres gwarancji skończy się zatem mniej więcej w roku 2326, kiedy po naszej ziemi chodzić będzie już 12. pokolenie po obecnych Karkosikach, a o nas samych – jeśli szczęście dopisze – będą wiedzieli tyle, ile my wiemy o przeciętnym mieszkańcu Konotopia z czasów Augusta Mocnego.

Ta niezwykła dalekowzroczność może mieć pewien związek z wiekiem fundatora. Roman Krzysztof Karkosik liczy dziś 75 lat, a projektant monumentu, Adam Jakub „Kuba" Matejkowski – 73. Jest to już ten rytualny moment ludzkiej egzystencji, kiedy człowiek coraz częściej ogląda się za siebie, liczy, ile zostało przed nim, i zaczyna się zastanawiać, jaki ślad pozostawi na Ziemi, gdy sam przestanie po niej chodzić.

Borygo przeminie, Maryja zostanie

Karkosik zapewne skonstatował, że za 300 lat samochody nie będą już potrzebowały Borygo, bo będą lewitować, napędzane wodą albo antymaterią. Huty, walcownie i reszta przemysłu ciężkiego wyniosą się zapewne na Księżyc. Z całego biznesowego imperium Karkosika może więc nie pozostać ani jeden produkt, który nadawałby się jeszcze do czegokolwiek. Pozostanie Matka Boska.

Jest to zatem najdłuższa inwestycja w portfelu starego spekulanta giełdowego. Karkosik dokonał interesującego założenia fundamentalnego: skoro pomnik ma mieć sens za 300 lat, to również za 300 lat musi istnieć klient na ten produkt: chrześcijanin, najlepiej katolik, który spojrzy w górę i będzie wiedział, kto tam stoi i dlaczego. Powstaje więc pytanie, od którego zaczyna się nasza analiza przyszłości: czy jeden z najskuteczniejszych polskich graczy giełdowych również tym razem dobrze rozpoznał rynek?

Karkosik zasadniczo rozumuje logicznie. Skoro kult Matki Boskiej utrzymuje się na rynku religijnym od blisko 2 tys. lat, to perspektywa kolejnych 300 stanowi zaledwie 15 proc. dotychczasowego okresu notowań. Fundamenty wydają się więc mocne, marka jest globalnie rozpoznawalna, baza wiernych wciąż liczona w setkach milionów, a historia wskazuje na wyjątkową odporność produktu na wojny, kryzysy i zmiany ustrojowe. Przy założeniu kontynuacji trendu inwestycja w 57 tys. ton Matki Boskiej może zatem uchodzić za pozycję długoterminową o stosunkowo niewielkim ryzyku. Problem w tym, że – jak głosi drobnym drukiem każda uczciwa analiza giełdowa – wyniki historyczne nie stanowią gwarancji przyszłych rezultatów.

300 lat w jednym życiu

Zasadniczo problem polega na tym, że czas nadal mierzymy w godzinach i latach, jednak rzeczywistość przyśpiesza. Weź człowieka urodzonego w Polsce około 1726 r. Jego świat w wieku 70 lat nadal opierał się na koniu, żaglu, drewnie, mięśniach, świecy, piśmie i rolnictwie. Oczywiście następowały tąpnięcia, ale podstawowa konstrukcja codzienności była dla niego niezmienna.

Teraz weźmy człowieka urodzonego w 1951 r., czyli Karkosika. W czasie jego jednego życia pojawiły się lub umasowiły: komputer osobisty, internet, telefon komórkowy, satelitarna nawigacja, bankowość elektroniczna, media społecznościowe, sekwencjonowanie genomu, samochody elektryczne, prywatne loty kosmiczne i generatywna sztuczna inteligencja. 75 lat jego życia zawiera więcej radykalnych zmian codzienności niż niejedne wcześniejsze trzy stulecia.

Watykan w kosmosie

Sukces chrześcijaństwa od dwóch tysiącleci opiera się na bezwstydnym żerowaniu na ludzkim nieszczęściu. Kościół zrobił sobie dochodowy monopol z objaśniania śmierci, choroby, głodu i lęku przed jutrem. To była genialna strategia marketingowa: im gorzej działo się na ziemi, tym lepiej sprzedawały się udziały w niebie.

Jednak za 300 lat ta oferta stanie się mało atrakcyjna. Jeśli człowiek będzie dożywał 180 lat, a nową wątrobę wyhoduje sobie w słoiku jak szczypiorek, to śmierć przestanie być tajemnicą metafizyczną, a stanie się zwykłą usterką techniczną. Trudno wciskać kit o „życiu wiecznym" komuś, kto właśnie przedłużył sobie gwarancję na ciało do roku 2470.

Gdy inżynieria genetyczna wymaże choroby, a cywilizacja upora się z głodem, kler straci swoją bazę klientów. Bóg przegrywa z serwisantem organów. W świecie, w którym niepewność jutra zostaje opanowana przez algorytmy zarządzania ryzykiem, chrześcijaństwo zostaje z pustymi rękami. Bez cierpienia i strachu przed gniciem cała ta mistyczna nadbudowa posypie się jak domek z kart, bo nikt nie będzie potrzebował pocieszenia od kogoś, kto oferuje darmowe zbawienie w zamian za realne posłuszeństwo. Postęp techniczny to dla Kościoła wyrok eksmisji.

Natomiast podbój kosmosu to logistyczny armagedon, przy którym schizma wschodnia to zaledwie kłótnia w kolejce po mięso. Chrześcijaństwo to produkt wybitnie lokalny, przywiązany do ziemskiego błota i tutejszego kalendarza. Za 300 lat, gdy ludzkość rozlezie się po Marsie, watykańscy urzędnicy oszaleją. Jak wyznaczyć termin Wielkanocy na planecie, która ma zupełnie inny pomysł na rok i dobę? W którą stronę ma się wypiąć wierny, by wycelować modlitwę prosto w rzymską centralę, skoro Ziemia jest tylko migoczącym punktem na niebie? Czy papieskie „Urbi et Orbi" obejmuje zasięgiem kolonie oddalone o miliony kilometrów?

Koniec monopolu na bajki

A co się dzieje już teraz? Fundamenty teologii dogmatycznej kruszeją pod naporem czegoś znacznie groźniejszego niż armia bezbożników – pod naporem powszechnego dostępu do wyszukiwarki. W XVIII w. opowieści o chodzeniu po wodzie, zamianie kranówki w wino czy masowym wskrzeszaniu nieboszczyków przyjmowano z pokorą, bo alternatywą był brak wiedzy albo bliskość proboszcza z ciężką ręką. Dziś nosimy w kieszeni urządzenie, które w trzy sekundy weryfikuje każdą bzdurę. Trudno wymagać od człowieka, by w sprawach zbawienia wyłączał ten sam mózg, którego używa do przelewania pieniędzy czy sprawdzania pogody.

Słynna maksyma Tertuliana – „wierzę, bo to absurdalne" – przez stulecia była genialnym unikiem. Dziś klient na widok absurdu nie pada na kolana, tylko składa reklamację i idzie do konkurencji. Smok Wawelski przestał być problemem dla zoologii, tak jak biblijne cuda przestały być informacją o rzeczywistości, stając się jedynie rekwizytami z teatru dla naiwnych.

Pedofilia, nuda i inne atrakcje

Do tego dochodzi fatalna reputacja producenta. Chciwość, pycha i pedofilska pajęczyna, którą hierarchowie tak starannie tkali pod ołtarzami, zrobiły Kościołowi więcej szkody niż wszystkie biblioteki ateistyczne świata. Hipokryzja stała się znakiem firmowym tej korporacji: z ambon płyną pouczenia o czystości i moralności, podczas gdy w zakrystiach i na plebaniach uprawia się standardy, przy których rzymskie orgie wyglądają jak spotkania kółka różańcowego.

Jednak najskuteczniejszym zabójcą wiary nie są grzechy purpuratów, lecz nuda. Człowiek jest w stanie znieść metafizyczny lęk, ale nie zniesie 40 minut bełkotu o niczym, serwowanego przez faceta w sukience, którego horyzonty intelektualne kończą się na krawędzi tacy.

Monopol na duchowość pękł bezpowrotnie. Na półce z ofertami obok zakurzonego katolicyzmu stoją dziś buddyzm, stoicyzm czy higieniczny ateizm. Buddyzm jest tu konkurentem szczególnie wrednym: oferuje etykę i spokój bez konieczności wierzenia w neurotycznego stwórcę, który rzekomo ulepił świat w tydzień, a potem przez tysiąclecia zajmował się głównie zaglądaniem ludziom pod kołdrę. W tym duchowym supermarkecie katolicyzm wygląda dziś jak przeterminowana konserwa z napuchniętym wieczkiem – niby można otworzyć, ale ryzyko zatrucia jest zbyt duże.

Dywersyfikacja portfela wiecznego

Wyobrażam sobie ten rok 2326. Katolicyzm jest już wtedy tylko trupem, ale Maryja Karkosikowa stoi niewzruszona. Zostaje wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO jako unikalny zabytek obrzędowości dzikich plemion przemysłowych, zamieszkujących dorzecze Wisły na początku XXI w. Przewodnik w lśniącym kombinezonie będzie tłumaczył wycieczkom znudzonych dzieci: że dawni mieszkańcy tych ziem wierzyli w życie po śmierci, a kiedy byli bardzo bogaci, próbowali poprawić swoje rokowania za pomocą betonu.

Jeśli miałbym podsunąć panu Romanowi jakąś strategię ostatniej szansy, to sugeruję powrót do lektury instrukcji obsługi nieba. Tam stoi czarno na białym, że wielbłąd ma znacznie większe szanse na przeciskanie się przez ucho igielne niż miliarder na pozytywne przejście przez niebiański audyt. Panie Romanie, niech pan spróbuje dywersyfikacji portfela według procedury świętego Mateusza: sprzedać wszystko, rozdać ubogim i zostać z niczym. To jedyny sposób, by uniknąć logistycznej katastrofy przy bramie św. Piotra.

Czekamy na wyprzedaż! Ubodzy już grzeją ręce. Czas ucieka! Wieczność czeka!

ROBERT JARUGA

Białe skarpetki do munduru

Co łączy statuę Karkosików z defiladą Kosiniaka?

Polska dostała w tym roku na 15 sierpnia dwa prezenty. Pod Toruniem poświęcono Matkę Boską wysokości 55,6 m, a przez Warszawę przetoczyła się defilada wojskowa, przy której zwykłe „patrzcie, jakie mamy czołgi" brzmi jak ćwiczenie z powściągliwości. Dwa wydarzenia pozornie z różnych parafii. Jedno dla Boga, drugie dla Ojczyzny. W istocie są z tej samej szafy. Z półki z napisem: białe skarpetki. A gdzie honor? Z mojego punktu widzenia honor cierpi, bo oba prezenty są jak 12. krawat na kolejną gwiazdkę od niekochającej żony.

Białe skarpetki nie oznaczają tu koloru garderoby. To stan ducha. Przekonanie, że prestiż mierzy się wysokością postumentu, liczbą ton betonu, czy czołgów na kilometr Wisłostrady i decybelami wydobywającymi się z silnika F-35. Im większe i głośniejsze, tym bardziej dostojne. Im droższe, tym bardziej patriotyczne albo święte. A jeśli jeszcze można przeciąć wstęgę, przemówić do mediów oraz stanąć przed kamerą i spojrzeć w dal z miną budowniczego piramid – pełnia szczęścia.

W Konotopiu państwo Karkosikowie ufundowali Maryję wraz z postumentem wysoką na 55,6 m. Sama korona-piedestał ma 15 m, w środku windę i taras widokowy. Konstrukcja za 100 mln zł ma przetrwać 300 lat. Zaiste, skromność chrześcijańska i biblijna hojność dla maluczkich nabrała odporności żelbetu.

Żeby było jasne: to prywatne pieniądze Karkosików. Wielu uważa, że miliarder ma prawo kupić sobie jacht, pałac, 100 Rolexów albo Matkę Boską większą od Chrystusa w Świebodzinie. Ja takiego prawa miliarderom odmawiam.

Mam prawo ocenić hierarchię cnót. Za 100 mln można przez sześć lat utrzymać w pracy 150 zwalnianych aktualnie pracowników kontrolowanej przez Karkosika Walcowni Metali „Dziedzice" (pisał o tym w zeszłym numerze Tadeusz Jasiński). Można też ufundować w Konotopiu wyjebany w kosmos dom kultury z biblioteką albo mieszkania wspomagane, rehabilitację, hospicja, stypendia, sprzęt medyczny. Można pomóc tysiącom żywych ludzi zamiast postawić jedną bardzo dużą figurę osoby od 2 tys. lat nieżyjącej. Ale pomoc nie wystaje 55 m ponad pole i słabo wygląda z helikoptera rozsypującego róże.

Tego samego dnia Warszawą przejechała inna monstrancja – na gąsienicach. Około 1,8 tys. żołnierzy, blisko 300 pojazdów, kilkadziesiąt statków powietrznych. Do tego parada morska z 20 okrętami. W zabezpieczenie imprezy miało być zaangażowanych nawet 8 tys. mundurowych. Abramsy, K2, Borsuki, Kraby, Patrioty, Apache'e, F-16 i po raz pierwszy polskie F-35. Państwo wyjęło wszystko z kredensu i ustawiło na stole, żeby goście zobaczyli, że nas stać.

Ile kosztowała tegoroczna pompa? Jeśli w kimś tli się silna wiara, to może mieć nadzieję, że kiedyś dotrze do pełnego rachunku MON, miasta stołecznego Warszawy i innych podmiotów zmuszonych przez politycznych decydentów do wysupłania forsy. Wiemy natomiast, że godzina lotu F-16 kosztuje 77 tys. zł, a F-35 – 130 do 170 tys. A przecież samolot nie teleportuje się nad Wisłostradą w pięć minut. Są przeloty, przygotowania, próby, paliwo, transport sprzętu, diety, zabezpieczenie, trybuny, bariery, telebimy, transmisja, reklama i sprzątanie. W 2017 r. podobną defiladę MON wyceniał wraz z przygotowaniami na 2,7 mln zł, co było, jak sądzę, wyrazem wyjątkowej skromności ministerstwa. Tegoroczna była nieporównanie większym widowiskiem. Pewnie nigdy się nie dowiemy, ile kosztowała ta narodowa erekcja.

eprasa.pl 059cca5cd1

Mamy kandydata na lidera lewicy innej niż czarzasta

To senator Maciej Żywno, były platformerski wojewoda podlaski. Tak, wiemy, jak to brzmi, ale poczytajcie.

Żywno w życiorysie ma harcerstwo, nieostentacyjny, bliższy papieżowi Franciszkowi katolicyzm, związek z rusofobiczną specjalistką od rosyjskiej propagandy Anną Mierzyńską i bunt przeciwko zamordyzmowi Tuska, co przypłacił opuszczeniem PO i przylgnięciem do budzącego jeszcze kilka lata temu spore nadzieje Szymona Hołowni. Tracąc poparcie Platformy, stracił też szansę na pracę godną byłego pierwszego przedstawiciela rządu na Podlasiu i wylądował na stołku sekretarza gminy w Gródku. Przetrwał godnie to zawodowe upokorzenie, dostał się, po raz drugi zresztą, do senatu i w tej kadencji pełni w nim funkcję wicemarszałka z namaszczenia Polski 2050.

Kilka lat temu dał się też poznać jako wolontariusz na granicy polsko-białoruskiej i jeden z nielicznych tej rangi polityków, którzy mówili wprost o tym, że – przy wszystkich wbudowanych w swój system strukturach represyjno-militarnych, nakierowanych na tłumienie anarchii wewnątrz i odstraszanie wrogów zewnętrznych – państwo nie powinno zapominać o humanitaryzmie i pomocy najsłabszym.

Idea żyje w Żywnie

Żywno – niosąc do lasu bańki z zupą, koce, ubrania i obuwie, opatrując gnijące od odmrożeń rany – zaliczał do grona zasługujących na pomoc wszystkich bez wyjątku imigrantów, którzy tam z różnych powodów utknęli.


Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Powtarzał to zresztą konsekwentnie z otwartą przyłbicą już jako wicemarszałek senatu, udzielając wywiadów takim sekowanym w dziennikarskim mainstreamie redaktorom jak Piotr Czaban, który podobnie jak Żywno pomagał ludziom na pograniczu polsko-białoruskim. Co wymagało odwagi, zwłaszcza wtedy, kiedy uśmiechnięta koalicja zaczęła wchodzić w antyimigracyjne pisowskie buty, zbroić się po zęby i odmawiać azylu tym, którzy uciekają przed wojną i głodem do Europy.

Dlatego nie zdziwiła nas specjalnie ostatnia konferencja wicemarszałka, na której poinformował, iż w związku z „Tarczą Wschód" – programem wojskowym na pograniczu polsko-białoruskim – wystąpił z kluczowymi pytaniami do kilku instytucji, w tym resortu obrony i Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej. Pytania są zgoła oczywiste: „Czy przeprowadzono analizę wpływu programu na rozwój województwa i życie jego mieszkańców? Jakie rozwiązania osłonowe i odszkodowania przewidziano dla właścicieli nieruchomości? Czy samorządy otrzymają rekompensaty za ewentualny spadek dochodów? Jakie zadania zostaną powierzone regionalnym dyrekcjom ochrony środowiska? Czy ograniczenia wpłyną na funkcjonowanie Lasów Państwowych? Jakie zasady będą obowiązywać przedsiębiorców oraz inwestorów prywatnych i publicznych? Jakie wsparcie państwo przygotuje dla mieszkańców, samorządów i firm?"…

Pytania te mają – wydawałoby się – charakter wyłącznie regionalny, ale gdy poskrobać głębiej, to widać w tym pewien szerszy zamysł ideowy. Taki, w którym gospodarka liczy się bardziej niż militaria, zwykły człowiek budzi większą troskę niż apoteozowany przez władzę człowiek w mundurze – a przynajmniej ma takie same prawa jak trep – a wszyscy mają prawo godnie i spokojnie żyć tam, gdzie się urodzili, nie obawiając się przymusowego wywłaszczenia przez armię i relokacji na obcy im kulturowo teren.

To niemało, jeśli patrzy się na tych wszystkich uśmiechlaków, w tym i wicewojewodę podlaskiego z rekomendacji Czarzastego – Pawła Krutula. Ten ci bowiem ukochał pikniki wojskowe, święcenia sztandarów jednostek mundurowych, grochówkę z kotła i cały ten przyszłą krwią ludzką nabuzowany militarny anturaż.

Polskie Radio Białystok doniosło, iż Maciej Żywno oczekuje od rządu przedstawienia szczegółowych założeń programu oraz przeprowadzenia konsultacji społecznych. Albowiem – dodaje radio, cytując wicemarszałka – „działania służące poprawie bezpieczeństwa państwa nie powinny prowadzić do gospodarczej marginalizacji przygranicznych części województwa podlaskiego". Gospodarczej i społecznej – dodamy od siebie.

Tak trzymajcie, Towarzyszu Wicemarszałku. Szacun!

JMP

Dziwny lewoskręt rządu

Szybciej bym uwierzyła, że Donald Tusk zatańczy z gwiazdami, niż że zwiększy progresję podatkową.

A już na pewno, że obniżenie podatków od zarobków mniejszych będzie chciał zrównoważyć zwiększeniem obciążenia większych. Cuda się zdarzają?

W środę premier ze swoim wiernym Domańskim u boku zaprezentował – z nieukrywaną satysfakcją – projekt zmian podatkowych, który jest wyraziście mądrzejszy od postulatów wykrzykiwanych od paru miesięcy przez Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz (co skądinąd może być jednym z powodów tej satysfakcji). Podobnie jak postulaty Pełczyńskiej dotyczy on dochodów w – powiedzmy – wyższej strefie stanów średnich, ale jest znacznie lepiej przemyślany.

Zamiast prostego podniesienia drugiego progu ze 120 do 140 tys. zł rocznie granica ta wzrośnie o 10 tys. Czyli do 130 tys. będzie się płacić bazalne 12 proc. Od 130 do 150 – 24 proc., co oznacza wprowadzenie nowej stawki pośredniej. Dopiero od dochodów powyżej 150 tys. rocznie podatek będzie wynosił 32 proc.

Po drugiej stronie tego równania znalazły się wymierne podwyżki podatków od najbogatszych. Po pierwsze: podniesienie CIT z 19 do 22 proc. dla firm i grup kapitałowych o dochodach powyżej 50 mln euro – co oznacza bardzo potrzebną likwidację liniowego podatku dla firm wprowadzonego, o zgrozo, przez lewicowy z nazwy rząd Leszka Millera. Po drugie: limit przychodów dla podatników rozliczających się ryczałtem ma zostać zmniejszony z 2 mln do 250 tys. euro; to de facto kolejny krok na rzecz likwidacji liniowości. I na dokładkę, wprowadzona przez rząd Morawieckiego „danina solidarnościowa" – czyli tak naprawdę dodatkowa stawka podatku, obejmująca dochody powyżej bańki rocznie – wzrasta z 4 do 5 proc.

Dla porządku: zwiększenie progresji podatkowej to bez wątpienia krok w dobrym kierunku. Sfinansowanie tego ze zwiększenia obciążeń dla najbogatszych – wręcz znakomitym. Ale cała ta zmiana jest bardzo daleka od poważnego ruchu na rzecz sprawiedliwości społecznej. Z lewicowego punktu widzenia


Ilustr. PAWEŁ FERENC

znacznie pilniejsze jest wsparcie tych, którzy zarabiają dużo mniej niż dyszkę miesięcznie. Jak choćby pracownicy ukochanych przez władzę małych i średnich firm, gdzie według ostatnich danych GUS mediana była równa płacy minimalnej: 4666 zł brutto

(generalnie w sektorze prywatnym mediana wyniosła 6770 zł brutto). Tymczasem kwota wolna to nadal 2500 zł miesięcznie i premier bez skrępowania zapowiedział, że ci frajerzy nie mają na co liczyć, bo musimy kupować Władziowi nowe zabawki: „Ja sobie zdaję sprawę z tego, że oczekiwania dotyczą także kwoty wolnej, ale na pewno w tej chwili nie jesteśmy w stanie tego zobowiązania zrealizować, tak długo jak nasz wysiłek zbrojny" bla bla bla…

Ale i tu pojawił się u Donalda Tuska ton nowy i zaskakujący. Zamiast tradycyjnego koniobicia na temat największych wydatków zbrojeniowych w NATO i najpotężniejszej armii w Europie – tę śpiewkę słyszeliśmy z ust premiera nie dalej niż 15 sierpnia – zabrzmiało coś na kształt wątpliwości. Mamy otóż „sytuację wojny za naszą wschodnią granicą i bezpośredniego zagrożenia ze strony Rosji, więc prawdopodobnie jakiś czas będziemy w okolicach 5 proc. finansowali przezbrojenie naszej armii", bo „jeszcze dużo pracy, dużo środków potrzebujemy". W roku 2027 i 2028 podniesienie kwoty wolnej „jest mało realne, bo zakładam, że jeszcze przez te dwa lata będziemy mieli ten wielki wysiłek na rzecz obronności"… Czujecie zmianę nastroju? Zamiast triumfu coś jakby – hm – tłumaczenie się?

Jakoś dziwnie nie wierzę, żeby premier przeszedł nagłą przemianę osobowości i dostrzegł moralną przewagę pacyfizmu. Jestem raczej skłonna podejrzewać, iż poufne badanie nastrojów, przeprowadzone ekspresowo po dwóch paradach z 15 sierpnia, zasugerowało rządowi, że okrzyki o dumie z polskiego oręża się zużyły i trzeba ludzi potraktować nieco bardziej serio. Ale może przemawia przeze mnie cynizm.

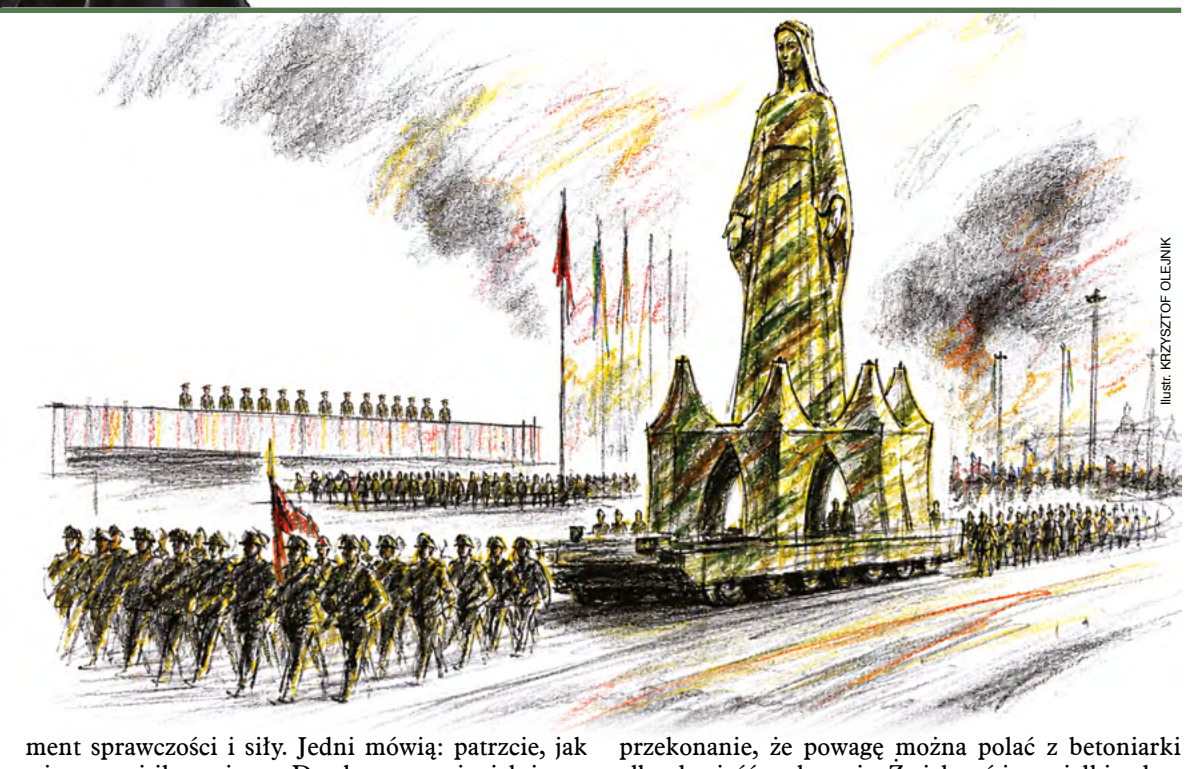
Ten sam cynizm każe mi zapytać: jaki jest związek tych podatkowych enuncjacji z kuriozalnym namaszczeniem prawej ręki Tuska, doktora Berka od legislacji, na członka Trybunału Konstytucyjnego? I czy to czysta koincydencja, że zmiany obliczone na zrobienie dobrze inteligenckiemu, wielkomiejskiemu elektoratowi KO zapowiedziano akurat tydzień po ogłoszeniu kandydatury Berka, szczególnie wkurwiającej dla takich właśnie – inteligenckich, wielkomiejskich – wyborców, którzy przez osiem lat PiS wychodzili na ulicę w obronie politycznej niezależności sądownictwa?

A najciekawsze pytanie brzmi: myślicie, że dadzą się kupić?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Dziś nazywa się to budowaniem morale i pokazem zdolności obronnych. Dawniej mówiło się prościej: władza pokazuje ludowi armaty, żeby lud poczuł dumę, a przy okazji zobaczył władzę na tle armat. Mechanizm jest stary jak cesarstwo. Zmieniają się tylko modele czołgów.

Jako prawdziwa Polka w stopniu starszego sierżanta podchorążego, nie jestem, boże broń, przeciw wojsku. Właśnie dlatego wkurza mnie robienie z niego objazdowego cyrku dla polityków. Wojsko ma być skuteczne, dobrze wyszkolone, wyposażone i przygotowane do obronnej wojny, której najlepiej nigdy nie prowadzić. Bezpieczeństwo obywateli buduje się także schronami, obroną cywilną, zapasami, ratownictwem i wiedzą ludzi, co robić, kiedy naprawdę zawyją syreny. To jest mniej fotogeniczne. Nie przejedzie przed prezydencką trybuną. Ale cóż! Histeria wojenna, patriotyczne emocje pod „biało-czerwoną" legitymizują władzę i konsolidują. Defilada oczywiście ma także funkcję propagandową.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Karkosikowie budują sobie monument wdzięczności i własnego ego. Politycy budują sobie monument sprawczości i siły. Jedni mówią: patrzcie, jak wierzymy i ile możemy. Drudzy: patrzcie, jak jesteśmy silni. W obu przypadkach najważniejsze są „patrzcie" i „podziwiajcie".

I to właśnie łączy Maryję z Konotopia z Abramsami na Wisłostradzie. Nie religia, nie wojsko, nawet nie pieniądze. Łączy je polska miłość do pompy – przekonanie, że powagę można polać z betoniarki albo dowieźć na lawecie. Że jak coś jest wielkie, drogie i robi hałas, to znaczy, że jest ważne.

Białe skarpetki. Tyle że jedne mają 55 m wysokości, a drugie jadą na gąsienicach.

ANNA GRODZKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak zrobić z gęby cholewę – krok po kroku.

1. Weź jedną gębę; niech to będzie gęba premiera Tuska.

2. Pozwól, żeby gęba natrafiła na jakiś swój ulubiony temat utyskiwania na władzę; może to być ochrona zdrowia albo praworządność.

3. Jeśli jest to praworządność, to doczekasz się, że gęba zacznie narzekać na to, co wyprawia Prawo i Sprawiedliwość: jak demoluje Trybunał Konstytucyjny, zawłaszcza Krajową Radę Sądownictwa i rujnuje Sąd Najwyższy. Niech gęba nie ustaje w powtarzaniu zarzutu o upolitycznianiu systemu sprawiedliwości. Niech nawiesza na ministrze sprawiedliwości tyle psów, ile zdoła. Niech pouży wa sobie na takich pisowskich indywiduach jak Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz.

4. W czasie kampanii wyborczej gęba będzie też spekulować, że gdyby to ona miała wpływ na wymiar sprawiedliwości, to do takich niegodziwości by nie dochodziło. Będzie obiecywać przestrzeganie prawa i dobrych obyczajów.

5. A teraz usiądź nad brzegiem rzeki i poczekaj, aż gęba przejdzie z opozycji do władzy.

6. Prędzej czy później gęba zmierzy się z praworządnością; jeżeli dotrzyma obietnic przedwyborczych, to do przemiany w cholewę nie dojdzie, ale to mało prawdopodobne. Najpewniej gęba postąpi tak jak wszystkie gęby rządzące.

7. Gęba na przykład ogłosi, że czasy są nadzwyczajne, a ona nie jest ciotuleńką, która nic nie może, dlatego do Trybunału Konstytucyjnego zamierza wysłać Macieja Berka.

8. I voilà – mamy klasyczną podręcznikową transformację z gęby w cholewę.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 059cca5cd1

Z Europą na bakier

Myśl polityczna polskiej prawicy

To my, prawi i sprawiedliwi, skonfederowani i ukoronowani po polsku, jesteśmy spadkobiercami tradycyjnej Europy – grzmią polscy prawicowcy od Kaczyńskiego, Mentzena z Bosakiem i Brauna. A te wszystkie geje, weganie, marksiści i cykliści to zaprzeczenie klasycznych, „prawdziwych" europejskich czy też zachodnich wartości – odpowiadają, gdy im się wytknie, że nie bardzo im po drodze z Unią Europejską. Prawica kreuje się na prawowitych spadkobierców starożytnej Grecji i Rzymu, a także chrześcijaństwa.

Nakładem Instytutu Narutowicza właśnie ukazała się książka „Społeczna historia zachodniej myśli politycznej" autorstwa marksistki Ellen Meiksins Wood – toteż można sprawdzić, na ile zachodnia jest nasza prawica. Autorka – co zasługuje na podkreślenie – zastosowała w swych wywodach metodę materializmu historycznego.

Wedle Wood, „aby zrozumieć praktyki społeczne i produkty kulturowe dowolnego czasu i miejsca, musimy zdobyć więcej wiedzy właśnie o warunkach przetrwania i reprodukcji społecznej, poznać konkretne sposoby, w jakie ludzie korzystają z materialnych uwarunkowań życia, a także dowiedzieć się, jak niektórzy ludzie uzyskują dostęp do pracy innych, jak kształtują się stosunki między wytwórcami a tymi, którzy zawłaszczają to, co wytworzą inni".

Nie udawaj Greka

Polska prawica z dumą kreuje swój demokratyczny wizerunek. Oni dbają o ojczyznę i naród, niczym starożytni Grecy o swoje polis. Karol Nawrocki w półgodzinnym przemówieniu inaugurującym prezydenturę ponad sto razy (sic!) używał słów „Polska", „Polacy", „polski". W rocznicę zasiadania na stolcu prezydenckim stwierdził z wrodzoną mu skromnością: „Chcę być głosem Polek i Polaków. Chcę być głosem polskiego narodu".

O narodzie i Polakach mówią prawacy równie często co piłkarscy snajperzy o strzelonych bramkach. Na mówieniu się zwykle kończy. Bo podstawą funkcjonowania polis była agora, czyli miejsce niekończącego się dwustronnego przekładu spraw prywatnych/rodzinnych na wspólnotowe i odwrotnie.

Tymczasem to właśnie prawica napluła w twarz milionom Polek, panicznie bojących się urodzić poważnie chore dziecko – co w naszym kraju jest równe śmierci cywilnej – praktycznie delegalizując aborcję. To oni nieustannie każą kłaniać się sukienkowym, choć społeczeństwo (zwłaszcza osoby młode) sekularyzuje się w bezprecedensowym tempie. To oni wciąż mają gęby pełne frazesów o dobru wspólnym, a po cichu załatwiają swoje mniejsze lub większe prywatne interesy.

Jak pisze Wood, „pojmowanie demokracji jako formy rządów klasowych – rządów biedoty – z pewnością odzwierciedlało poglądy jej przeciwników, którzy być może nawet sami wymyślili to słowo w charakterze obelgi. Jednak zwolennicy demokracji, nawet umiarkowani, tacy jak Perykles, uznawali polityczny głos biedoty za zasadniczy element definicji demokracji jako takiej".

W dyskursie polskiej prawicy głos biedoty wybrzmiewa tylko wtedy, gdy trzeba posłać ją do urny wyborczej. Potem, gdy prawica dorwie się do żłobu, robi wszystko, aby biedocie zamknąć gębę małpkami i sukcesami sportowców-milionerów, nie wspominając o codziennej dawce jadu i nienawiści, jaka wylewa się z serwisów społecznościowych oraz ekranów telewizorów.

Ateńczycy cenili zdolność wypowiadania się zwykłych ludzi w sprawach publicznych, mieli nawet – zaznacza Woods – na to specjalne określenie – isegoria – „oznaczające nie tylko wolność słowa w rozumieniu współczesnych demokracji, ale także równość wypowiedzi publicznej. Być może to najbardziej wyjątkowa idea, jaką zrodziła demokracja ateńska, pozbawiona w dodatku odpowiednika w naszym słowniku politycznym".

Dla prawaków zwykli ludzie mają zamknąć mordy i klaskać.

Wyrodni synowie św. Augustyna

Jakkolwiek to słowo rzadko pojawia się w wokabularzu rodzimej prawicy, milcząco przez nią przyjętym założeniem jest prymat kapitalistycznej formacji społecznej, zbudowanej na świętym prawie własności. A prawda jest taka, że w starożytnym Rzymie nigdy nie istniał taki system zawłaszczania jak kapitalizm, który jest oparty na intensywnym wzroście i konkurencji.

No i jasne jest, że z czasem Rzymianie hojnie rozdawali obywatelstwo wśród ludów podbitych, niekiedy zaś one same chciały stać się częścią imperium. Dla wrogich imigrantom – którzy wedle pamiętnej formuły Jarosława Kaczyńskiego roznoszą pasożyty – prawaków to byłoby nie do przyjęcia. Bo Rzymianie nie oczekiwali od nowych obywateli porzucenia swojej religii czy zwyczajów.

Cechą wyróżniającą polską prawicę jest nieustanne korzystanie z WC, czyli wartości chrześcijańskich, które wpycha się ludziom do gardła niczym Rocco Sifredi kutasa partnerkom w pornolach. Kiedy jednak poskrobać trochę po powierzchni, pojawia się pytanie, czy aby są to rzeczywiste wartości chrześcijańskie, czy aby tylko fasada, za którą kryje się pogański kult siły. Aby to rozstrzygnąć, sięgnijmy tam, gdzie rzadko sięga Czarnek czy Bosak, czyli do doktora Kościoła, św. Augustyna.

Augustyn z Hippony rozwinął obecną już u Pawła (pisał on w „Liście do Rzymian": „Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, ustanowił Bóg") doktrynę, że upadła kondycja człowieka wymaga istnienia władzy. Władzy, której bez żadnej wątpliwości należy się podporządkować.

Na tym tle wszelkie urągania Brauna czy Mentzena, które są wymierzone w miłościwie nam panującego Tuska, są bluźnierstwem.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Kiedy zatem Mariusz Kamiński z więzienia pisał: „Podły reżim Tuska nie jest w stanie nas złamać. Damy radę. Zwyciężymy" – to popełniał tym samym grzech i to grzech ciężki. Bo podkopując legalizm tej konkretnej władzy, uderza mocno w samą kategorię władzy,

która wszak jest jedynym hamulcowym, trzymającym w karbach ludzką grzeszność.

Wood zwraca uwagę, że Augustyn opracował „metodycznie racje, dla których ludzie winni są posłuszeństwo nawet wobec pogańskiego cesarza takiego jak Julian Apostata, i to w równym stopniu, co wobec cesarza chrześcijańskiego, jak Konstantyn, nawet po schrystianizowaniu cesarstwa, czego Paweł u zarania chrześcijaństwa w Rzymie nie mógł nawet przewidzieć. Jeśli już, to ciężar argumentacji Augustyna spoczywa praktycznie w całości po stronie posłuszeństwa wobec władzy cesarskiej".

Przekładając to na język współczesny: jakkolwiek zły byłby rząd Tuska – a w takiej TV Republice wciąż jest mowa o „reżimie Tuska", a swego czasu promowała ona hasło „nie bać Tuska" – to jest on władzą prawowitą, której należy się bez szemrania podporządkować.

Gdzie Rzym, gdzie Krym

Polska prawica widzi siebie jako spadkobierców Rzymu, choć niejednemu z jej łysych zwolenników najbardziej podoba się salut rzymski, zwany potocznie hajlowaniem bądź też zamawianiem naraz pięciu piw.

Oczywistym dodatkiem jest wychwalanie Kościoła rzymskokatolickiego jako rdzenia polskości, nawet jeśli lokator Watykanu im nie bardzo pasuje, jak to było w przypadku miłosiernego papieża Franciszka. Polski katolicyzm zawsze był bardziej polski niż uniwersalny, co jak wiadomo, „tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem"…

A jednak w gruncie rzeczy niż do Rzymu, bliżej jest im do Krymu, co skądinąd nie jest niczym nowym w dziejach naszego kraju. Wystarczy poczytać Carla von Clausewitza, który w swym dziele „O wojnie" odmalował realistyczny obraz Polski przedrozbiorowej, pisząc: „Czyż istotnie można było Polskę uważać za państwo europejskie, za jednolitą cząstkę europejskiej rzeczypospolitej państw? Nie! To było państwo tatarskie, które zamiast leżeć, jak Krymskie, nad Morzem Czarnym, na granicy świata państw europejskich, leżało między nimi, nad Wisłą".

Dziś, jak w wieku XVII i XVIII, szerzą się ksenofobia, zaściankowość, krwiożerczość wobec innych połączona ze służalczością wobec wielmożnego jaśniepaństwa i zagranicznych potęg. Pruski teoretyk strategii zwrócił uwagę na sarmackie elity: „Istotna zmiana tego stanu tatarskiego mogłaby być dziełem połowy czy też całego stulecia, gdyby przywódcy tego narodu chcieli tego. Sami oni jednak byli nazbyt Tatarami, aby życzyć sobie takiej zmiany. Ich rozwiązłe życie państwowe i niezmierzona lekkomyślność szły ręka w rękę i w ten sposób pędzili w przepaść".

Jak zauważa filozof dr Damian Winczewski na łamach czasopisma naukowego „Studia Krytyczne", porównanie Polski i Polaków do Tatarów nie miało wydźwięku etnicznego czy rasowego. Szło raczej o porównanie sytuacji geopolitycznej – niczym Chanat Krymski Rzeczpospolita była „tworem pozbawionym politycznej niezależności, zredukowanym pod koniec XVII wieku do roli protektoratu rosyjskiego o terytorium wykluczającym zbudowanie prężnej gospodarki, tak podobnie Polska stała się zależna od Rosji i ze względu na brak poważniejszych reform, była słabym gospodarczo i wojskowo podmiotem, który czekał na swój upadek".

Oczywiście prawacy nie są do końca zgodni, czy powinniśmy być bardziej zależni od USA czy Rosji, lecz ich mniej lub bardziej otwarta wrogość wobec integracji europejskiej każe się zastanawiać – na wzór słynnej formuły z czasów upadającego caratu – czy to jeszcze głupota, czy już zdrada.

Tak czy inaczej, mentalnie i pod względem wyznawanych poglądów prawakom bliżej do azjatyckich stepów i orientalnego zamordyzmu niż klasycznej myśli zachodniej…

K.K.

Tak czy owak, zawsze Nowak

Odkręcamy pieprzenie prezesa NFZ

Temat bajzlu w Szpitalu Południowym stracił nieco na świeżości, ale rząd nie ustaje w wysiłkach, by wykazać, że z kryzysem sobie poradził. O sukcesach m.in. walki z patologią systemów kominowych w szpitalach opowiadał 12 sierpnia w „Porannej rozmowie" na antenie radia RMF FM sam prezes NFZ Filip Nowak. Nie poszło mu najlepiej.

Bajki prezesa

Po ujawnieniu szeregu afer dotyczących czasu pracy lekarzy Ministerstwo Zdrowia przekazało do konsultacji publicznych projekt, który zakłada, że pracownicy medyczni będą mogli pracować maksymalnie 320 godzin miesięcznie, a maksymalna stawka ich wynagrodzenia zatrzyma się na 76 tys. zł. Przepisy dotyczą zarówno umów o pracę, jak i cywilnoprawnych – czyli słynnych kontraktów. Limity czasu pracy mają dotyczyć dwóch sytuacji: gdy medyk pracuje w systemie publicznym oraz gdy łączy pracę w sektorze publicznym i komercyjnym. Ten sam projekt przewiduje m.in. obowiązek zatrudnienia na co najmniej pół etatu w danym (podstawowym) podmiocie. Celem jest ograniczenie zjawiska „lekarzy walizkowych", pompowania ich pensji i rzekome zapewnienie dostępności personelu.

O tym, że w Polsce nie brakuje lekarzy, przekonywał Filip Nowak na antenie RMF FM.

– Bardzo istotne jest to, żeby zmieniać profil działalności szpitali, nie likwidować, ale dostosowywać do potrzeb pacjentów i konsolidować się. Wówczas liczba lekarzy będzie właściwa, tym bardziej że tych lekarzy będzie coraz więcej – przekonywał prezes NFZ. Okazało się, że nie uważa też, by ewentualne ograniczenie pracy medyków miało doprowadzić do upadku szpitali.

Bardzo brzydko, kiedy człowiek na tak wysokim stanowisku robi słuchaczy w wała. Nie szkodzi, wszystko panu prezesowi wyjaśnimy. Lub – jak mawia młodzież – wyjaśnimy pana prezesa.

Zagęszczenie kitli

W Polsce wskaźnik lekarzy zbliżył się do średniej OECD i wynosi 3,9–4,2 na 1000 mieszkańców. Na tle Unii Europejskiej wypadamy nienajgorzej. Jednak wielu medyków dzieli czas między sektorem publicznym a prywatnym lub w ogóle nie pracuje przy łóżku pacjenta, co sprawia, że statystyczny „zapas" lekarzy nie przekłada się na realną dostępność usług w ramach NFZ.

Braki kadrowe i kolejki są wciąż mocno odczuwalne jeszcze z kilku innych powodów: złej organizacji pracy, nierównomiernego rozmieszczenia kadr i deficytów w konkretnych specjalizacjach. Tu robi się ciekawie.

O tym, na jakie rezydentury trafią publiczne fundusze, decyduje państwo. Liczba miejsc rezydenckich jest ustalana centralnie na podstawie zapotrzebowania zgłaszanego przez wojewodów.

Środki są kierowane głównie na tzw. dziedziny priorytetowe, w których braki są najbardziej dotkliwe dla całego systemu. Mowa o chorobach wewnętrznych, chirurgii, medycynie rodzinnej czy psychiatrii dziecięcej. W obleganych specjalizacjach (jak np. chirurgia plastyczna czy endokrynologia) miejsc przyznaje się celowo bardzo mało. Ma to wymusić na młodych lekarzach wybór specjalizacji, które utrzymają ich w publicznym systemie lecznictwa szpitalnego.

Jest jeszcze jeden klops. Aby szpital mógł wyszkolić, dajmy na to, dobrego chirurga, musi posiadać odpowiedni oddział, sprzęt oraz odpowiednią liczbę zatrudnionych na stałe doświadczonych specjalistów, tzw. kierowników specjalizacji. Generalnie w dziedzinach zabiegowych jak np. neurochirurgia czy kardiochirurgia, proces nauki wymaga bezpośredniej asysty przy skomplikowanych operacjach. Zbyt wielu rezydentów na jednym oddziale oznaczałoby, że żaden z nich nie wykona wymaganej programem liczby operacji.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Warto mieć na uwadze, że wielu obecnych specjalistów osiąga wiek emerytalny. Oznacza to tyle, że liczba odchodzących lekarzy przewyższa liczbę nowo wchodzących na rynek w kluczowych dziedzinach – tak jest np. ze wspomnianą chirurgią.

eprasa.pl 059cca5cd1

Co to znaczy „dane 19 milionów pacjentów”?

Hakerzy i medyczna dupa



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Prywatne firmy, nawet pod rygorem RODO, mają pokusę profilowania użytkowników np. do optymalizacji pod kątem reklamowym. Mowa o analizowaniu zachowań czy przewidywaniu trendów rynkowych. Jest na to sposób.

Dane medyczne 19 mln Polaków trafiły w ręce hakerów. Rodacy poczuli lęk o bezpieczeństwo danych, opozycja żąda głowy ministra cyfryzacji. Pożar w wirtualnym burdelu danych wrażliwych ma ojców nie tylko wśród polityków aktualnej kadencji.

Grzybica i PESEL

12 sierpnia MyDr, polska firma świadcząca usługi informatyczne dla placówek ochrony zdrowia, padła ofiarą cyberataku. O incydencie jako pierwszy poinformował portal Zaufana Trzecia Strona. Skontaktowali się z nim sami sprawcy zamieszania, chwaląc się przejęciem gigantycznej bazy danych. Wśród skradzionych informacji znalazły się numery PESEL, dane osobowe oraz informacje związane z wizytami lekarskimi. Na potwierdzenie swojej skuteczności hakerzy pokazali zrzut ekranu z danymi jednego z najważniejszych polityków w kraju. Zgadzały się: data urodzenia, numery telefonów i region NFZ. Była też recepta na pewien lek.

Portal zweryfikował informacje i w trybie pilnym powiadomił odpowiednie instytucje. Sprawą zajęły się m.in. Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości, prokuratura, Ministerstwo Cyfryzacji, Ministerstwo Zdrowia oraz Urząd Ochrony Danych Osobowych. Rodaków, których ulubionym sportem jest licytacja na rodzaj i zaawansowanie schorzeń, najbardziej zmartwił wyciek numerów PESEL. Widmo spłacania zaciągniętego na lewo kredytu poskutkowało masową akcją zastrzegania osobistych identyfikatorów.

Tradycyjnie ruszyło rodeo politycznych oskarżeń. Prawica winą za podprowadzenie kartotek medycznych połowy kraju obarczyła premiera Tuska i ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego. MyDr jest co prawda firmą prywatną, ale obsługuje placówki komercyjne i te należące do publicznego sektora zdrowia. Zarzut, że państwo świadomie powierzyło dane zdrowotne połowy kraju prywatnemu operatorowi i nie zbudowało żadnego mechanizmu, który by wychwycił koncentrację ryzyka, zanim doszło do włamania – jest trafny. Dowcip polega na tym, że adresatem jobów powinien być też (szczęśliwie pogrzebany) rząd Zjednoczonej Prawicy.

e-pierdolec

Żeby zrozumieć, dlaczego prywatna firma obracała wrażliwymi danymi na taką skalę, warto prześledzić historię cyfryzacji państwowej ochrony zdrowia oraz to, na jakim etapie się zatrzymała.

Proces wprowadzania sektora zdrowia w XXI w. w wymiarze prawnym i systemowym zapowiedział i formalnie zapoczątkował pierwszy rząd Donalda Tuska. To za jego kadencji stworzono wart setki milionów złotych „Elektroniczny System Platformy Usług Publicznych Ochrony Zdrowia” – czyli tzw. projekt P1.

W dużym skrócie P1 to centralna ogólnopolska baza danych medycznych polskiej ochrony zdrowia. Gromadzi historie zdarzeń z gabinetów i szpitali. System stał się podwaliną pod dzisiejsze wygodne i lubiane e-recepty, e-skierowania oraz Internetowe Konto Pacjenta. Zanim jednak do tego doszło, P1 zaliczył serię wpadek. Mimo władowania blisko 500 mln zł (głównie z unijnych funduszy) oraz podpisania kontraktów z wielkimi firmami technologicznymi wykonawcy polegli na integracji systemu. Pacjenci zamiast wygodnych e-usług zobaczyli środkowy palec. Bajzel opóźnień, pogróżek prawnych i zerwanych umów doprowadził do wstrzymania projektu w 2015 r. i zainteresował prokuraturę.

Po zmianie rządu Ministerstwo Zdrowia i Centrum Systemów Informacyjnych Ochrony Zdrowia zmieniły strategię, dzieląc platformę P1 na mniejsze moduły wdrażane etapami. Wiatru w cyfrowe żagle dodała rządowi pandemia. Wprowadzono e-skierowania, e-receptę i spopularyzowano Internetowe Konto Pacjenta. Co istotne, placówki medyczne zostały zobowiązane do prowadzenia elektronicznej dokumentacji. Aby ułatwić łapiduchom robotę, udostępniono państwową aplikację gabinet.gov.pl – darmowy panel użytkownika zintegrowany z P1. Lekarz wypełnia formularz, aplikacja zapisuje dane w bazie P1, wszystko trafia na IKP w telefonie lub na komputerze pacjenta.

Na podobnej zasadzie działa system MyDr, jest jednak kilka zasadniczych różnic.

Do państwowej aplikacji wystarczy zalogować się profilem zaufanym; integracja z P1 jest automatyczna. MyDr wymaga specjalnych certyfikatów dostępu P1 wygenerowanych dla danej placówki. W przypadku włamania państwo natychmiast unieważnia certyfikaty i zmusza przychodnie do wygenerowania nowych. Dzięki temu hakerzy nie mogą podszywać się pod placówki medyczne i wybebeszać danych z P1. To, co skradziono przy ostatnim włamie, znajdowało się w chmurze samej firmy. Można zatem założyć, że jakiś bezpiecznik zadziałał.

Pytanie zasadnicze brzmi, na cholerę właściwie lekarzom zewnętrzne narzędzie do obsługi państwowego programu, skoro mają podpiętą pod niego rządową aplikację? To czysty pragmatyzm.

Cudze chwalicie

MyDr to pełnoprawny system gabinetowy (i aplikacja dla pacjentów), który integruje się z gabinet.gov.pl/P1, ale oferuje znacznie szerszy zakres funkcji dla placówek. To zaawansowany kombajn systemowy. Zawiera: moduł rejestracji pacjentów, kalendarz wizyt, moduł rozliczeń finansowych i księgowych dla kliniki, system automatycznych powiadomień SMS o terminach wizyt, telemedycynę i jest kompatybilny z portalem Znany Lekarz. Krótko mówiąc, dostarcza publicznemu systemowi wielu rozwiązań, których polskie państwo nie zdążyło się dorobić. I nigdy się nie dorobi.

Resort zdrowia dzięki kasie z KPO skupia się na budowie centralnych narzędzi, które mają skrócić kolejki i zautomatyzować obieg dokumentów między różnymi sektorami medycyny. Z silnym naciskiem na wdrażanie sztucznej inteligencji i drastyczne uszczelnianie cyberbezpieczeństwa, choć jedno zdaje się przeczyć drugiemu. Plan zakłada, że ten wózek pojedzie do końca 2029 r. Nawet jeśli, to wciąż będą usługi centralne, a nie pełne oprogramowanie do zarządzania placówkami. Powodów takiego stanu rzeczy jest wiele.

Szpitale, przychodnie POZ czy gabinety stomatologiczne mają zupełnie inne wymagania. Jeden państwowy system byłby trudny do utrzymania i rozwijania. Budowa i ciągłe utrzymywanie takiego giganta na skalę kraju to ogromne i kosztowne przedsięwzięcie. Umówmy się, sektor publiczny rzadko jest w stanie zaoferować topowym programistom i architektom IT stawki rynkowe… Państwu wygodniej narzucać na placówki standardy i obowiązki, a konkurencję zostawić prywatnym dostawcom. Do tego dochodzi kwestia awaryjności. Jeśli rządowa aplikacja się wykrzaczy i sparaliżuje tysiące przychodni, w dupę dostanie minister. Jeśli padnie system prywatnego dostawcy, to on zabuli kary umowne, a państwo jest czyste.

Na marginesie: trzy lata temu Ministerstwo Zdrowia podjęło się stworzenia bezpłatnej alternatywy gabinet.gov.pl dla przychodni POZ. Sam rozwój aplikacji kosztował blisko 17 mln zł, a sprzęt dla placówek jeszcze więcej. Projekt spuścili po brzytwie sami medycy, wytykając mu ubogą funkcjonalność. Finalnie z programu skorzystało zaledwie 11 placówek, które wygenerowały 397 dokumentów elektronicznych. Nie było warto.

Czy wobec tego państwo ma narzędzia do ochrony strategicznych danych, które krążą wśród prywatnych dostawców infrastruktury programowej? Oczywiście – a co ważniejsze, można je było wdrożyć na każdym etapie cyfryzacji medycznej machiny.

Cyberbat

Państwo może skutecznie zabezpieczyć dane pacjentów, narzucając rygorystyczne i jednolite standardy cyberbezpieczeństwa dla całego sektora medycznego, również prywatnym dostawcom oprogramowania.

Aby system publiczny nie pozwolił na komercyjne wykorzystanie danych, prywatne programy gabinetowe powinny jedynie wyświetlać dane pobrane z państwowego serwera bez możliwości zapisywania ich lokalnie na własność firmy komercyjnej. Sankcje za złamanie zasad komercjalizacji powinny być tak wysokie, żeby profilowanie pacjentów było dla firm całkowicie nieopłacalne.

W zewnętrznych firmach państwo ma wgląd w procedury bezpieczeństwa tylko podczas rzadkich audytów. W praktyce bezpieczeństwo danych w komercyjnych systemach w dużej mierze zależy od jakości zabezpieczeń samej firmy. Incydent MyDr dobrze pokazał ograniczenie tego modelu. Organy państwowe mogą żądać informacji i przeprowadzać kontrole, ale nadal nie oznacza to automatycznego wglądu w wewnętrzne procedury firm prywatnych – a powinno. Na dokładkę dane nie powinny krążyć po komercyjnych chmurach międzynarodowych korporacji, gdzie prawo USA czy Chin może wymusić dostęp. Koniecznością jest też regularne szkolenie personelu medycznego w zakresie świadomości cyberbezpieczeństwa oraz procedur postępowania w przypadku włamu w bebechy systemów. Zabezpieczenia danych w jednostce będą gówno warte, jeśli osoby w najbliższym otoczeniu, któremu dane są przekazywane, nie zadbają o własne standardy ochrony. Tylko tyle i aż tyle.

Ataki cybernetyczne w sektorze medycznym będą się zdarzać coraz częściej. Główną przyczyną tego trendu jest rosnąca wartość danych medycznych na czarnym rynku. To nie tylko dobry hak na polityków czy wojskowych, ale cenna wiedza dla banków czy firm ubezpieczeniowych.

Paczka danych podprowadzona MyDr na razie nie trafiła na sprzedaż. Niech to będzie życzliwą nauczką dla rządzących. Wszystkiego nie da się zabezpieczyć w 100 proc., ale próbować zawsze warto.

IDALIA DUBICKA

Specjalizacje deficytowe nie są popularne z dwóch powodów: są obciążające psychicznie i fizycznie, a co najgorsze, nie można zaraz po ich ukończeniu otworzyć własnego gabinetu na rynku komercyjnym. Mało kto chce wpierdolić się w szpital i trudno mieć o to pretensje. Gabinety i kliniki prywatne dają lżejsze warunki i wyższe zarobki za krótszy czas pracy, nie męczą też nadmiarem biurokracji.

Czy dokręcenie śruby wymogów zatrudnienia przez NFZ i Ministerstwo Zdrowia zachęci młodych specjalistów do pozostania w systemie? Bądźmy poważni.

Pomysły i wymysły

W innym nowym projekcie nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty, przygotowanym przez Ministerstwo Zdrowia, resort zamierza zmienić mechanizm naboru na miejsca specjalizacyjne. W dużym skrócie: młody lekarz nie będzie wybierał spośród wszystkich szpitali, a jedynie spośród tych, które wskaże urzędnik. Czy to sprawi, że lekarzy specjalistów będzie więcej, a ich rozlokowanie pokryje mapę zapotrzebowania? Srali muchy.

Lekarz nie musi mieć specjalizacji, żeby legalnie leczyć. Po ukończeniu studiów medycznych i odbyciu stażu podyplomowego otrzymuje pełne prawo wykonywania zawodu, co pozwala mu na samodzielne obrabianie pacjentów, wypisywanie recept i pracę w placówkach medycznych. Co więcej, sektor prywatny przyjmie takiego medyka z otwartymi ramionami.

Medyk bez specjalizacji po ukończeniu odpowiednich kursów lub studiów podyplomowych może wykonywać świetnie płatne ostrzykiwanie dup, penisów i ust kwasem hialuronowym czy botoksem. Prawo rezerwuje te procedury ogólnie dla zawodów lekarskich, a nie konkretnych specjalizacji. Ucieszy się sektor prywatnych platform medycznych. Telemedycyna rośnie w siłę, klientów na e-recepty i e-zwolnienia nie brak. Na lekarzy bez specjalizacji czekają także placówki prywatne. Rola lekarza ogólnego czy medycyny podróży w niczym nie umniejsza prestiżowi zawodu. Są jeszcze branże okołomedyczne, w których nie trzeba oglądać stękających pacjentów. Wszystkie świetnie płatne, bez NFZ-tu dyszącego w kark.

Dziury i lekarze widmo

Proponowany przez resort limit czasu pracy nie będzie dotyczył lekarzy pracujących wyłącznie komercyjnie. Ci, którzy zwiążą się z państwową ochroną zdrowia, wejdą w pakt z diabłem. Zamiast poprawiać warunki pracy, systemowe zmiany skupią się na restrykcjach, limitach i kontroli.

Według prognoz Naczelnej Izby Lekarskiej ograniczenie pracy medyków i kary finansowe dla placówek za uchybienia w ich raportowaniu mogą doprowadzić do fali likwidacji oddziałów szpitalnych, szczególnie w tych mniejszych ośrodkach.

Lekarski narybek po zakończeniu specjalizacji częściej wybiera duże placówki, gdzie ma większe możliwości rozwoju zawodowego i naukowego, lepsze zaplecze diagnostyczno-terapeutyczne i szerszą ofertę dodatkowego zatrudnienia. Jeśli szpitale powiatowe stracą możliwość konkurowania warunkami finansowymi z molochami, zostaną z kadrą zbliżającą się do wieku emerytalnego. Albo padną, bo nie będzie komu leczyć.

Już teraz lecznice na lewo dopisują lekarzy do swoich harmonogramów po to, żeby utrzymać kontrakty na NFZ i zachować publiczne finansowanie. Ofiarą procederu padła m.in. lekarka Anna Bazydło, specjalistka psychiatrii. Jak poinformowała na X, okazało się, że według Systemu Numerowania Recept Lekarskich jest zatrudniona w trzech placówkach, choć pracuje tylko w jednej, i to od niej dostaje comiesięczny przelew za pracę. Swoje „dodatkowe” zatrudnienie odkrył też Artur Drobniak, prezes Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie. Podobne babole wydłubały kontrole NFZ, które ruszyły po burdelu z Dawidem Kacprzykiem. Oszukują szpitale i przychodnie.

Jak to się ma do zapewnień prezesa Nowaka, że nowe ograniczenia dla lekarzy nie spowodują odpływu kadry, który doprowadzi do zamykania szpitali? Chuj wie. Niewiele w temacie kontroli wie sam prezes. W wywiadzie dla RMF FM na pytanie, ile szpitali skontrolował w tym roku NFZ, Filip Nowak nie potrafił odpowiedzieć. Stwierdził tylko, że dużo więcej niż w roku 2025. Oczywiście zaprzeczył, że to skutek afery w Szpitalu Południowym. Paradne.

Podpowiemy panu prezesowi, że z badania przeprowadzonego w 182 szpitalach przez ekspertów Fundacji Zdrowie i Rozwój i Think Tanku SGH dla ochrony zdrowia wynika, że 79 proc. dyrektorów ocenia problem z zatrudnieniem lekarzy jako poważny lub bardzo poważny. 89 proc. zaś uznało kwestię zastępowalności pokoleniowej jako zagrożenie dziś lub w najbliższej przyszłości.

Zdaniem Sebastiana Goncerza z Porozumienia Rezydentów

projekt ograniczenia liczby godzin pracy lekarzy może prowadzić – celowo – do zamknięcia publicznych placówek na prowincji. Później wejdą podmioty prywatne, które te placówki kupią. W tym jednym prezes Nowak ma rację: nie trzeba likwidować szpitali – zlikwidują się same.

Pomysł z przypisaniem rezydentur na siłę będzie wisienką na torcie podarowanym przez resort zdrowia i NFZ prywacie.

Na zakończenie „Porannej rozmowy” redaktor RMF FM Piotr Salak zapytał Filipa Nowaka, jak to zrobił, że wytrzymał pięciu ministrów zdrowia. Sami zachodzimy w głowę.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl 059cca5cd1

Jeśli chodzi o „wartości Zachodu”, to to by było na tyle…

Pamiętajcie o Ujgurach

SŁOWO CZERWONE



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

A zwalczanie wszelkiej krytyki izraelskiego ludobójstwa, represjonowanie społecznych inicjatyw, stających w obronie prawa Palestyńczyków nie tylko do swojej ziemi, ale i do życia – to dowód, że Europa rezygnuje z praw człowieka. I to w imię dobrych stosunków z USA,

Kanafani zrozumiał, że walka Palestyńczyków to walka z tym samym wrogiem, z którym walczą strajkujący górnicy w Boliwii. Za odkrycie tej prawdy palestyński pisarz zginął w zamachu bombowym, do którego przyznał się Mosad.

Hasło „Wolna Palestyna” zjednoczyło wszystkie postępowe siły na świecie. Jest znakiem rozpoznawczym sił postępu i sprawiedliwości. Palestyński pisarz spostrzegł, że Palestyńczycy i boliwijscy górnicy walczą z tym samym systemem, z taką samą opresją. I jego słowa okazały się prorocze: na każdej demonstracji w obronie praw człowieka czy praw pracowniczych są palestyńskie flagi. I właśnie tego przestraszył się Izrael (Mosad): utożsamienia nierównej walki Dawida z Goliatem z walką Palestyńczyków o wolność.

Podczas antykolonialnej demonstracji pod niemieckim Ministerstwem Spraw Zagranicznych policja wyłapała i aresztowała demonstrantów z flagami palestyńskimi, tłumacząc, że Palestyna nie ma nic wspólnego z kolonializmem. A berlińskie kuratorium oświaty zakazało uczniom noszenia arafatek i hasła „Wolna Palestyna”, tłumacząc, że sama wzmianka o Palestynie może wywołać niepokoje w szkołach. Podobną politykę prowadzą władze oświatowe we Francji i wielu innych krajach zachodniej demokracji. Te same kraje zaopatrują Izrael w broń, która służy do mordowania Palestyńczyków.

Zohran Mamdani, burmistrz Nowego Jorku, jest przez media izraelskie traktowany jak wróg publiczny nr 1, bo stwierdził, że Binjamin Netanjahu, poszukiwany przez trybunał w Hadze za zbrodnie przeciwko ludzkości, powinien zostać aresztowany, jeżeli znajdzie się w NY. Tzw. wolny świat nie tylko popiera izraelskie ludobójstwo w Gazie, ale dostarcza pieniędzy i uzbrojenia, które to ludobójstwo umożliwia.

Opinia izraelska dzieli się na tych, którzy odwracają wzrok, by nie widzieć ludobójstwa, jakiego ich kraj dopuszcza się w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu i w Libanie – oraz tych, których ono cieszy. Przeciętny Izraelczyk nie wie jednak, jak to ludobójstwo obniżyło pozycję międzynarodową jego kraju. Nawet w USA stosunek do Izraela bardzo się zmienił. 47 proc. Amerykanów uważa, że Netanjahu jest zbrodniarzem wojennym – tego zdania jest aż 30 proc. Amerykanów żydowskiego pochodzenia.

Rządząca światem prawica popiera Izrael i eksterminację ludności palestyńskiej. A każdego, kto staje w obronie Palestyńczyków, postrzega jak „zagrożenie terrorystyczne”. Jednocześnie przywódca „wolnego świata” odrzucił już wszelkie pozory, że USA stoją po stronie praw człowieka. Chociażby ostatnio Donald Trump odwołał wspólne manewry z Koreą Południową, żeby nie urazić swojego nowego przyjaciela Kim Dzong Una. I to niewiele czasu po tym, jak w północnokoreańskim więzieniu w wyniku tortur zmarł amerykański obywatel. Trump ma świetne relacje ze zbrodniarzami: Netanjahu, Putinem i Kim Dzong Unem. Każdy, kto upomni się o Palestyńczyków, ofiary ludobójstwa i czystek etnicznych, jest represjonowany w krajach, które wciąż uważają się za demokracje.

Przewagą Zachodu miały być wyznawane wartości, przywiązanie do praw człowieka. Tymczasem polityka antyimigracyjna stanowi w dużej mierze ich zaprzeczenie. Zawieszenie prawa do azylu w Polsce – i to za rządów rzekomo liberalnych – czy rezygnacja z ratowania ludzi tonących na Morzu Śródziemnym to nowe odsłony tego upadku demokratycznych, humanitarnych obyczajów europejskich.

którego prezydent zaprzyjaźnia się z ludobójcami.

Zwykle USA, chcąc uzasadnić swe wrogie nastawienie do jakiegoś państwa, oskarżały je o łamaniem praw człowieka. Tak uzasadniano wrogi stosunek do Chin. Ale czy naprawdę kumpel Kim Dzong Una może jeszcze rzucić kamieniem?

Ukraina wstrzymała ataki dronowe na tankowce z ropą naftową korzystające z portu w rosyjskim mieście Noworosyjsk nad Morzem Czarnym. Decyzja ta zapadła po prośbie wiceprezydenta USA J.D. Vance’a – poinformował w środę brytyjski dziennik „Financial Times”, powołując się na ukraińskich urzędników. Uzasadnienie dla ingerencji J.D. Vance’a stanowił fakt, że ukraińskie ataki destabilizują rynek paliw. A przecież każdy wie, że to właśnie obniżenie eksportu paliw mogłoby osłabić potencjał finansowy i militarny Rosji. Wyszło na to, że obrona niepodległości Ukrainy „psuje interesy”.

Zbiorowego Zachodu już nie ma. Wolnego świata już nie ma. Są tylko interesy. I każda zbrodnia będzie wybaczona, jeżeli takie wybaczenie się komuś opłaca. Dlatego podczas uroczystych wizyt w Chinach nikt już nie wspomina o Ujgurach.

Łącznie 4,4 miliona lat więzienia wymierzyły Ujgurom chińskie władze w ciągu ostatnich siedmiu lat – wynika z raportu opublikowanego przez badaczy z Uniwersytetu Yale. Wśród powodów aresztowań są między innymi udział w muzułmańskich modlitwach, posiadanie lub zapuszczanie brody, a także kontakt z dziećmi studiującymi za granicą.

Podczas wcześniejszych wizyt wspominanie o tych zbrodniach należało do rytuału. Już nie. O Ujgurach zapomniano tak jak o prawach człowieka.

PIOTR IKONOWICZ

GADMAN

Ojczyzna ksenocydu demokratycznego

Wielu amerykańskich Indian, potomków rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej, nie używa banknotów dwudziestodolarowych.

Bo widnieje na nich wizerunek Andrew Jacksona. Prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1829–1837. Wcześniej generała armii USA, wojskowego gubernatora Florydy.

To za jego prezydentury i z jego inicjatywy Kongres przegłosował w 1830 r. Indian Removal Act of 1830. Czyli Ustawę o przesiedleniu Indian, jak ją wtedy elegancko nazwano.

Zalecała, aby Indian – czyli rdzennych mieszkańców ziem zwanych przez europejskich migrantów stanami południowymi – „przesiedlić” na odległe zachodnie tereny. Z zachowaniem zasad demokracji. Wcześniej zaproponować im takie wysiedlenie oraz zaoferować zakup ich ziemi.

Ustawa dopuszczała też „wymianę ziem z Indianami zamieszkującymi w dowolnym ze stanów lub terytoriów oraz ich przesiedlenie na zachód od rzeki Missisipi”. Czyli dawała olbrzymie pole do „przeniesień” rdzennych mieszkańców USA uznanych przez białych osadników za dzikusów.

Ludobójstwo w granicach prawa

Reprezentanci światłej, chrześcijańskiej cywilizacji białych ludzi szybko dostrzegli, że „indiańskie dzikusy” krnąbrne są. Nie chcą dobrowolnie opuszczać swych ziem. Nie chcą też swych terenów sprzedawać.

Ci najbardziej hardzi, jak plemię Cherokee, odwoływali się do sądów, zwanych często niezawisłymi, korzystając przy tym z pomocy renegatów cywilizacji białego człowieka. Ale sądy sądami, a wyrok w końcu musi zgodny być z interesami białych kolonizatorów.

Dlatego po wyczerpaniu drogi prawnej plemię Cherokee zostało przesiedlone przez armię Stanów Zjednoczonych. Zmuszono Indian do forsownego marszu na nieskolonizowany jeszcze Zachód.

Szli „Szlakiem Łez”. Bo po drodze marli z głodu, wyczerpania, chorób, kul i bagnetów konwojujących ich żołnierzy.

Podobnie maszerowali potem wypędzani ze swych ziem Ormianie, Żydzi, Azerowie, Polacy, Tatarzy, Ukraińcy, Palestyńczycy, Rohindżowie.

I wielu, wielu innych, traktowanych jako przeszkody w tworzeniu jednolitych etnicznie państw.

Biali chrześcijańscy osadnicy szybko zauważyli, że przystępując do akcji „przesiedleń”, nie warto tracić czasu na pertraktowanie z indiań-

Algorytm ci pogrzebie

Czy babcia i 13-letnia Zuzia są pedofilkami?

Parlament Europejski poparł wniosek o przywrócenie tymczasowych przepisów znanych jako Chat Control 1.0. Regulacje pozwalają technologicznym gigantom na automatyczne masowe skanowanie prywatnych wiadomości i skrzynek pocztowych. Wszystko w ramach walki z treściami przedstawiającymi seksualne wykorzystywanie dzieci. Głosowanie nad przedłużeniem tymczasowych rozwiązań połączyło polskich europosłów od prawa do lewa. Najwyraźniej nie do końca zrozumieli, za czym podnieśli ręce.

Zielone światło

Lipcowe głosowanie nie dotyczyło stałej regulacji, a jedynie jej poprzedniczki. Chodzi o przepis, który pozwala gigantom jak Google czy Meta „dobrowolnie” czesać sieć. Chat Control działał od 2021 r., wygasł 3 kwietnia 2026 r., a finalnie Rada UE postanowiła go wskrzesić i utrzymać aż do 2028 r. Zautomatyzowanej analizie pod kątem wykrywania śliskich materiałów z udziałem milusińskich będą podlegać: prywatne wiadomości na platformach Instagram, Snapchat, TikTok i Discord; tradycyjne wiadomości e-mail w usługach Gmail oraz iCloud, a także komunikatory w usługach gamingowych, np. w sieci Xbox. Cel wydaje się szczytny, ale tylko na pierwszy rzut oka. W praktyce może przynieść więcej szkody niż pożytku – również samym dzieciom.

Przeciwnicy regulacji i obrońcy praw obywatelskich cały mechanizm wprost nazywają narzędziem masowej inwigilacji, które traktuje każdego internautę jak potencjalnego podejrzanego. I w sumie mają rację. Wygląda to następująco: systemy automatycznie przeszukują komunikację użytkowników przy pomocy algorytmów, aby wykrywać materiały przedstawiające seksualne wykorzystywanie dzieci oraz próby ich nagabywania. Serwery platform technologicznych na bieżąco przeszukują teksty, pliki wideo i zdjęcia przesyłane przez użytkowników. Algorytmy porównują przesyłane obrazy z bazami danych materiałów przestępczych za pomocą tzw. sum kontrolnych. Jeśli system wykryje dopasowanie, automatycznie oflaguje konwersację. Podobnie dzieje się z wzorcami tekstowymi. W przypadku wykrycia podejrzanych treści algorytm generuje zgłoszenie, które trafia do moderatorów, a po weryfikacji – bezpośrednio do organów ścigania (np. policji w państwach UE).

Wspomniana „dobrowolność” oznacza, że to platforma decyduje, że prześwietla wiadomość. Użytkownik nie jest o to pytany. Prawo dotyczy wyłącznie usług nieszyfrowanych. Póki co opierają mu się WhatsApp i Signal. Warto o tym wiedzieć, bo w pedofilskie maliny wpaść może każdy.

Śliskie sprawki

Statystyki wyników dotychczasowego skanowania nie napawają optymizmem. Z danych przedstawionych przez europosła Patricka Breyera wynika, że ok. 50 proc. zgłoszeń trafiających z Chat Control 1.0 do niemieckiej policji federalnej można było rozbić o kant kibla. Była europejska komisarz ds. bezpieczeństwa Ylva Johansson podniosła ten smutny wynik do 75 proc. Tysiące fałszywych alarmów, a każdy z nich to ingerencja w prywatność błędnie oznaczonej osoby, zanim jej sprawa zostanie zweryfikowana.

Tatuś przesyła zdjęcie roznegliżowanego bobasa babci? Ciach. Jeśli podobne zdjęcie śmigało po stronach z materiałami pedofilskimi (a mogło, bo ludzie bezmyślnie wrzucają do sieci absolutnie wszystko) algorytm uzna je za podejrzane. Według badania amerykańskiej fundacji Thorn z 2020 r. aż 17 proc. niepełnoletniej dzieciarni udostępnia własne materiały intymne. Trend potwierdzają polskie badania m.in. NASK. Na dokładkę kontakt z treściami o charakterze seksualnym dotyczy coraz młodszych smarków, nawet w wieku 11–12 lat. System masowego skanowania nie odróżni fotek wysyłanych przez parę gówniarzy w ramach sextingu od materiału przedstawiającego krzywdzenie dziecka przez dorosłego. Skutki prawne i wizerunkowe takich zabaw mogą być druzgocące.

Jest jeszcze jeden aspekt. Większość przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci ma miejsce w ich domu. Czy odważą się napisać o tym komuś, korzystając z internetowego chatu sprawdzanego przez algorytm? Mocno wątpliwe…



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mgła mózgowa

Przeforsowanie dyskusyjnych rozwiązań było możliwe m.in. dzięki głosom polskich europarlamentarzystów. Na liście popierających dalsze prace nad przepisami znaleźli się politycy Lewicy, Prawa i Sprawiedliwości, PSL i Koalicji Obywatelskiej. Argumentacja przyprawia o mdłości.

Krzysztof Śmiszek z Nowej Lewicy, który przy okazji należy do Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów, stwierdził, że „głosowanie dotyczyło wyłącznie tymczasowych przepisów, które będą obowiązywać jedynie do momentu przyjęcia odpowiednich rozwiązań na stałe”. Przekonywał również, że cała sprawa nie ma nic wspólnego z inwigilacją obywateli. Interesujące, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że UE faktycznie pracuje nad systemowym rozwiązaniem pod nazwą Chat Control 2.0, w którym przewija się idea skanowania również wiadomości szyfrowanych.

Patryk Jaki z PiS-u (w europarlamencie należy do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów) artykułował, że przecież urzędnicy unijni na żadnym etapie nie będą mieli wglądu do prywatnych wiadomości. Można się zatem rozejść. To śmieszne, bo wyszukiwaniem materiałów przedstawiających krzywdzone dzieci zajmują się firmy technologiczne, które same na krzywdzie dzieci zarabiają. Pod koniec 2025 r. wybuchł potężny skandal po tym, jak ujawniono, że

Meta bez wiedzy rodziców pobierała z Instagrama prywatne zdjęcia 13-letnich dziewczynek i wykorzystała ich wizerunek jako przynętę w reklamie aplikacji dla dorosłych panów.

Przekonywanie, że wszystko jest cacy, bo europejscy politycy nie będą grzebać w konwersacjach Janusza czy Helmuta, jest absurdalne.

Michał Szczerba z KO i Europejskiej Partii Ludowej wyłuszczył, że regulacje unijne nie mogą naruszać prawa do prywatności i muszą ograniczyć się wyłącznie do wykrywania przestępstw seksualnego wykorzystywania dzieci. Widocznie niezbyt dokładnie wczytał się w projekt rozporządzenia. Dokument nie określa, w jaki sposób operatorzy mają to robić, ani nie wskazuje konkretnych technologii, z których mają w tym celu korzystać. Mają być „skuteczne w wykrywaniu” problematycznych treści, „nie mogą pozwalać na pozyskiwanie żadnych informacji z istotnych komunikatów innych niż informacje absolutnie niezbędne do wykrywania”. Narzędzia spełniające te wymogi jeszcze nie powstały. Żeby było mniej zabawnie, Europol już lata temu sugerował Komisji Europejskiej rozszerzenie skanowania na inne tematy. Słabo.

Raz stworzony system do skanowania prywatnych wiadomości to idealne pole do nadużyć. Unijni decydenci powinni zaczerpnąć świeżego powietrza albo użyć gumowego młotka. Iluzja legalności niezgodna z Kartą Praw Podstawowych UE podważa zaufanie do unijnych instytucji. Nie tędy droga.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 059cca5cd1

Wolność, wyzysk, ludobójstwo



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

skimi dzikusami. Zwłaszcza w sprawie „zakupu ich ziem". Skoro Indianie nie posiadali formalnie sporządzonych aktów własności, to zajmowana przez nich ziemia do nich nie należała. Użytkowali ją bezprawnie.

Ponieważ Indianie nie chcieli opuszczać tych terenów dobrowolnie, nierzadko stawiali opór, to prewencyjnie należało takich zdolności do agresji szybko ich pozbawić. Najlepiej mordując wszystkich od razu. Unikając tym niehumanitarnych wypędzeń, kolejnych Szlaków Łez.

Prezydent Andrew Jackson był wielki orędownikiem takiego ostatecznego rozwiązania kwestii indiańskiej. I nie wstydził się go wspierać.

Jego następca Martin Van Buren kontynuował zbożne dzieło budowy wielkiej Ameryki. Dzięki nim tereny Stanów Zjednoczonych na wschód od rzeki Missisipi i na południe od Wielkich Jezior rychło zostały uwolnione od kłopotliwej obecności plemion indiańskich.

Ponieważ Stany Zjednoczone rozrastały się, bo biali migranci stale tam napływali, to ludobójstwo Indian przenosiło się coraz dalej na Zachód.

Co ciekawe, przypadki takiego ludobójstwa zawsze poprzedzane były traktatami, jakie władze USA zawierały z przywódcami „przenoszonych" Indian.

Za każdym razem rząd USA zobowiązywał się w nich do poszanowania praw Indian do posiadania nowych, nadanych im ziem. Mieli tam sobie spokojnie żyć, „dopóki trawa rośnie, a rzeki płyną". Tak rząd USA zawsze im obiecywał.

I zaraz potem łamał zawarte traktaty, pozwalając demokratycznemu społeczeństwu na kolejne akty ludobójstwa.

Dyktatorski Hitler i jego naziole, podobnie jak Stalin i jego czekiści, mordowali liczne narody bez ubierania zbrodni w prawne kostiumy. Na tym pewnie polega różnica między dyktaturą a demokracją.

W systemie dyktatorskim zbrodnicza władza mordowała swe ofiary od razu. Bez składania pięknie brzmiących obietnic. W wzorcowej amerykańskiej demokracji najpierw gwarantowano im prawo do godnego życia. Dopiero potem przystępowano do eksterminacji.

Oczywiście wszyscy chętni Indianie mieli szanse zostać cywilizowanymi ludźmi. Musieli jedynie wyrzec się swej kultury, wiary, języka. Żyć jak biali. Wtedy mieścili się w nowej cywilizacji. Choć w jej hierarchii zajmowali najniższe pozycje. Poniżej białych Irlandczyków i Polaków, uważanych przez protestanckich Anglosasów za mięśniaków o ograniczonych rozumach. Plasowali się na poziomie Metysów i Meksykanów, czasem wyżej od afroamerykańskich „czarnuchów". I zawsze wyżej od emigranckich Chińczyków.

Żółci Murzyni

Góry wydawały się nie do przejścia. Kiedy firma kolejowa Central Pacific Railroad stanęła przed masywem Sierra Nevada, wielu jej inżynierów uważało, że tam nie da się torów położyć. Ale postawiono na chińskich kulisów. W 1868 r. pracowało ich tam około 12 tys., stanowili 90 proc. wszystkich pracowników firmy.

Zarabiali mniej niż biali robotnicy, musieli pokrywać koszty jedzenia, sprzętu i noclegów. Pracowali w ekstremalnych warunkach. Drążyli tunele w litej skale, wśród lawin i osuwisk. Dokonali wyczynu, który do dziś budzi podziw.

Ekipy Central Pacific ułożyły ponad 10 mil torów w ciągu jednego dnia. Rekord, jedno z największych osiągnięć budownictwa kolejowego XIX w.

Kiedy nadszedł dzień świętowania, pominięto ich. Podczas Promontory Summit 10 maja 1869 r., kiedy wbijano symboliczny złoty gwóźdź, chińskich robotników nie dopuszczono do udziału w ceremonii. Nie pozwolono nawet, aby znaleźli się na okolicznościowych zdjęciach. Wymazano ich z historii budowy cywilizacji USA. Podobnie potem usuwano w Rosji radzieckiej trockistów z historii rewolucji.

W wolnym demokratycznym amerykańskim społeczeństwie przemoc wobec Azjatów ma długą historię. Chińczycy zaczęli masowo emigrować do Kalifornii w drugiej połowie XIX w. Stamtąd ruszyli w Sierra Nevada zwabieni gorączką złota. Potem ściągano ich do budowy kolei transkontynentalnych. Po ich ukończeniu chińskich robotników zatrudniały fabryki powstające na Zachodnim Wybrzeżu. Chińczycy zawsze tworzyli zwarte skupiska. Otwierali sklepy, restauracje, słynne tanie pralnie. Zatrudniali się też w rolnictwie i rybołówstwie. Pracowali wedle swej tradycji. Czyli dłużej niż Europejczycy. Godzili się na niższe, czasem głodowe stawki. Bo pamiętali lata głodu.

Miejscowi biali, a nawet Latynosi, szybko dostrzegli w nich konkurencję, która rzekomo odbierała im prace i zaniża płace. Ta niechęć przerodziła się we wrogość, nawet nienawiść wobec „żółtej rasy". Rozpowszechniano informacje, że Chińczycy roznoszą choroby. W latach 1900–1902 oskarżono ich o sprowadzenie dżumy do San Francisco. I urządzono im pogrom, jak Żydom za rządów nazistów.

Społeczność chińska spotykała się z ówczesnym hejtem. Media i okolicznościowe ulotki przekonywały, że wszystkie Chinki to prostytutki. Doprowadzają chrześcijańskich mężczyzn do grzechu obcowania z nimi. Zabierają uczciwym białym Amerykankom mężów i kandydatów na nich. Rozbijają przykładne chrześcijańskie rodziny. W końcu XIX w. nękanie i publiczne obrażanie Chińczyków przez kulturalnych, białych ludzi stało się normalną praktyką amerykańskiego społeczeństwa. Potem zaczęły się napaście na nich, rozboje, napady na chińskie sklepy.

W 1871 r. w Los Angeles ponad 500 porządnych spokojnych mieszkańców zaatakowało lokalne Chinatown. Pretekstem była nieprawdziwa plotka o zabiciu tam białego policjanta. Akt obywatelskiej sprawiedliwości przerodził się w zwyczajny pogrom. Powieszono 20 Chińczyków. Obrabowano chińskie sklepy i restauracje.

Takie „obywatelskie oburzenie" śledzili i podsycali politycy. Najpierw lokalni, potem też federalni. W 1862 r. przeforsowano w Kalifornii ustawę stanową nakazująca ograniczać napływ chińskiej taniej siły roboczej. Nałożono na chińskich migrantów dodatkowy podatek. Ale kapitalistyczny wyzysk, fundament amerykańskiej cywilizacji, żerował na takich migrantach. Publicznie oburzano się na „żółte robactwo" i przymykano oczy na stały przemyt chińskich kulisów.

Antychińskie fobie wzmocnił w 1875 r. Kongres USA. Uchwalił Page Act. Prawo, które zakazywało wpuszczania do USA ludzi „pracy przymusowej" i „nierządnych kobiet". W praktyce wszystkie Chinki zaczęły być postrzegane jako prostytutki i spychane do szarej strefy społecznej.

Ukoronowaniem antychińskich fobii był Chinese Exclusion Act z 1882 r. Zakazano wjazdu chińskich robotników, a przebywających już pozbawiono prawa do uzyskania obywatelstwa USA. Potem jeszcze zabroniono Azjatom mieszkającym w USA zawierania małżeństw z białymi. Nabywania i dzierżawienia ziemi. Dopiero od 1943 r. poluzowano restrykcje wobec Chińczyków, bo władze przypomniały sobie, że Chiny są sojusznikami USA w wojnie z Japonią.

Antychińskie nastroje powróciły w czasie epidemii COVID-19. Kiedy prezydent Trump grzmiał o „chińskim wirusie". Sprawił, że Chińczycy znowu byli opluwani w metrze. Znów nawoływano w mediach, by „wracali, skąd pochodzą", bo „roznoszą kung flu".

Dziś połowa Amerykanów chińskiego pochodzenia ma co najmniej dyplom licencjata. Ich dochody przekraczają rocznie co najmniej 90 tys. dol. na głowę.

Ale nadal wolą się tam „nie promować". Niech ta wzorcowa demokracja amerykańska bierze na cel Meksykanów, Kolumbijczyków, Somalijczyków.

PIOTR GADZINOWSKI

Moralność dezertera

Menachem Begin: laureat pokojowego Nobla, zbrodniarz wojenny

Kiedy mówimy o armii Andersa, to przed oczami stają nam bohaterowie spod Monte Cassino, żołnierze, którzy przeszli przez Sybir, aby stanąć do walki z hitlerowskimi Niemcami. I to jest prawda – ale nie cała. Bo wśród tych żołnierzy w polskich mundurach szli także Żydzi – obywatele przedwojennej Polski, którzy razem z innymi cierpieli w łagrach i razem wierzyli, że Polskie Siły Zbrojne w ZSRR są ich szansą na wolność. Tylko że dla nich wolność oznaczała coś innego niż dla większości kolegów z broni. Dla nich Polska była tylko przystankiem w drodze do celu, a tym celem była Palestyna – nie jako ziemia obiecana w biblijnym znaczeniu, ale jako terytorium do opanowania; miejsce, gdzie zacznie się realizacja syjonistycznego projektu.

Według danych Muzeum POLIN, z armii Andersa na Bliskim Wschodzie w latach 1943–1944 zdezerterowało prawie 3 tys. żydowskich żołnierzy. Nie wszyscy – część pozostała w armii i walczyła u boku Polaków we Włoszech, część zginęła, część wróciła do Polski. Ale wielu wybrało Palestynę. Nie dlatego, że była dla nich święta, ale dlatego, że widzieli w niej bazę operacyjną dla syjonistycznego projektu. Chodziło o to, żeby zbudować państwo żydowskie kosztem ludzi, którzy tam mieszkali od wieków. I ten wybór miał ogromne konsekwencje – dla Palestyńczyków, dla całego Bliskiego Wschodu, ale także dla nas, Polaków, bo historia ta splata się z naszą własną.

Wśród tych żołnierzy był Menachem Begin. Zbrodniarz. Człowiek urodzony w Brześciu, w mieście, które wtedy było polskie. Studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, działał w syjonistycznym Betarze, współpracował z polskim wojskiem. Aresztowany przez NKWD, skazany na osiem lat łagru, zesłany na Syberię. Kiedy wyszedł i wstąpił do armii Andersa, nie różnił się od innych polskich żołnierzy. Dotarł z armią do Palestyny. I tam zdezerterował. Został w Palestynie i stanął na czele Irgunu, żydowskiej organizacji terrorystycznej, która walczyła z Brytyjczykami, ale przede wszystkim prowadziła czystkę etniczną wymierzoną w ludność palestyńską.

Bo to trzeba jasno powiedzieć – Irgun, którym dowodził Begin, nie był organizacją wyzwoleńczą w żadnym szlachetnym sensie. Był zbrojnym ramieniem rewizjonistycznego syjonizmu, który otwarcie głosił, że cała Palestyna, a nawet ziemie na wschód od Jordanu, muszą należeć do Żydów. A skoro ziemia była zamieszkana przez Palestyńczyków, to trzeba było ich stamtąd usunąć. Begin nie miał żadnych oporów przed użyciem terroru, mordowaniem cywilów, wysadzaniem budynków, zastraszaniem całych społeczności. To była świadoma, przemyślana strategia.

9 kwietnia 1948 r. – jeszcze przed ogłoszeniem niepodległości Izraela – oddziały Irgunu i Lehi zaatakowały palestyńską wieś Dajr Jasin. Według różnych źródeł zamordowały 240 do 360 Palestyńczyków, wielu w brutalny sposób, po torturach.

Kobiety były gwałcone, dzieci zabijane na oczach rodziców. Wieś, która wcześniej zawarła z sąsiednimi osadami żydowskimi pakt o nieagresji, została zrównana z ziemią. Begin, jako przywódca Irgunu, był za to odpowiedzialny. I nie tylko nie potępił tej zbrodni; wręcz się nią chwalił. Mówił otwarcie, że masakra w Dajr Jasin wywołała panikę wśród Palestyńczyków i o to chodziło: przyspieszyć ich ucieczkę, oczyścić teren z rdzennej ludności, zrobić miejsce dla żydowskich osadników sprowadzanych z całego świata.

Dajr Jasin to nie był przypadek. To była metoda; początek czegoś, co Palestyńczycy nazywają Nakbą – Katastrofą. W ciągu kilku miesięcy 1948 r. 750 tys. Palestyńczyków zostało wypędzonych ze swoich domów. Wsie były burzone, ziemie – przejmowane, miasta zajmowane przez żydowskich imigrantów. To nie była wojna w klasycznym sensie – to była czystka etniczna, prowadzona systematycznie i z zimną krwią. A Begin był jednym z jej architektów.

I teraz zadaję sobie pytanie – czy jako Polacy mamy prawo o tym nie mówić? Przecież Begin był naszym obywatelem, uczył się w Warszawie, nosił polski mundur, należał do armii Andersa. Dziś w Izraelu jest uważany za bohatera, w Polsce często mówi się o nim z sentymentem: polski Żyd, który został premierem Izraela. Laureat – wraz z egipskim prezydentem Anwarem as-Sadatem – Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1978. Ale czy ktoś mówi o Dajr Jasin? Czy ktoś mówi o tym, że Begin był terrorystą, że dowodził organizacją, która mordowała cywilów, że jego ręce są splamione krwią niewinnych ludzi? Czy ktoś mówi o Nakbie



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– katastrofie, która dotknęła naród palestyński, o ludziach, którzy stracili wszystko, bo syjonistyczny projekt wymagał ich ziemi?

Bo przecież o to właśnie chodziło – nie o jakąś duchową tęsknotę za Syjonem, ale o ziemię. O kontrolę nad terytorium, wypędzenie jednych, żeby sprowadzić innych, realizację politycznego projektu, który nie liczył się z prawami ludzi mieszkającymi tam od pokoleń. I Begin, były żołnierz Andersa, były więzień sowieckiego łagru, były obywatel Polski, stał się jednym z głównych wykonawców tego projektu. To właśnie w Palestynie, dokąd przybył w polskim mundurze, zaczął realizować swoje zbrodnicze plany. To tam założył Irgun. To tam dowodził atakami na cywilów. To tam przyczynił się do wypędzenia setek tysięcy ludzi.

Nie chcę, żeby ten artykuł był oskarżeniem wobec Polaków – nie ponosimy odpowiedzialności za czyny Begina. Ale chcę, żebyśmy jako Polacy znali całą historię, a nie tylko jej ładną część. Bo historia Armii Andersa to nie tylko Monte Cassino. To także ci żołnierze, którzy zdezerterowali, którzy poszli w swoją stronę, którzy stali się częścią zbrodniczego projektu. To także Menachem Begin, który z polskiego żołnierza stał się terrorystą, a później premierem Izraela. I nie ma w tej biografii niczego, co zasługiwałoby na sentyment. Jest za to krew niewinnych ludzi, jest cierpienie wypędzonych, jest zbrodnia.

Dla Palestyńczyków rok 1948 był to rok, w którym stracili wszystko. I fakt, że wśród tych, którzy przyczynili się do ich tragedii, byli polscy Żydzi; że jednym z ich przywódców był człowiek, który uczył się na Uniwersytecie Warszawskim i nosił polski mundur – to fakt, przed którym nie powinniśmy zamykać oczu. To nie jest historia, z której możemy być dumni. To jest historia, która powinna nas zobowiązywać do mówienia prawdy, nawet jeśli jest niewygodna. Begin był zbrodniarzem. Nie można tego nazywać inaczej. I naszym obowiązkiem jest o tym pamiętać.

OMAR FARIS

eprasa.pl 059cca5cd1

Biedawka kontra Bentleye

Nierówności po polsku



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wybitny brytyjski polityk Benjamin Disraeli w powieści „Sybil, or Two Nations” (1845) wypowiada ustami radykalnego działacza robotniczego Waltera Geralda słowa: „Dwa narody; między którymi nie ma kontaktu ani porozumienia; które są tak nieświadome nawyków, myśli i uczuć tego drugiego, jakby zamieszkiwały odrębne strefy albo odrębne planety; które są inaczej wychowane, inaczej karmione, kształtowane innymi obyczajami, nie podlegają tym samym prawom”.

Zostawiając na boku angielską XIX-wieczną nędzę i nierówności społeczne, zastanowiłam się, czy aby w naszym tu i teraz – w Polsce roku 2026 – nie egzystują dwa narody. Jeden, liczony w milionach, biedaków – i wielokrotnie skromniejszy liczebnie, lecz potężny dzięki majątkowi i wpływom, naród bogatych.

Jest to tym istotniejsze, że w dzisiejszych czasach w krajach zaawansowanego kapitalizmu coraz bardziej rozkład dochodów przypomina czasy wiktoriańskie czy też epokę tuż przed wielkim kryzysem zapoczątkowanym krachem na giełdzie nowojorskiej, który w Europie utorował drogę do władzy Hitlerowi.

Marzenie blachar

W kraju naznaczonym głęboko wykluczeniem komunikacyjnym – gdzie osoby nieposiadające aut, a mające pecha zamieszkiwać prowincjonalne miasteczka i wioski, są traktowane jak osoby drugiej, jeśli nie trzeciej kategorii – po ulicach i autostradach sunie coraz większa flota luksusowych samochodów.

Z czołobitnej rozmowy Business Insidera z Piotrem Jędrachem, dyrektorem generalnym Bentley Warszawa, możemy się dowiedzieć, jaki jest profil jego klienta: „Niezmiennie jest to przede wszystkim polski przedsiębiorca, który osiągnął sukces. Istnieje jednak jeszcze jeden warunek: to ktoś, kto interesuje się motoryzacją, rozumie ją i traktuje jako coś więcej niż tylko sposób przemieszczania się z punktu A do punktu B”.

Feministki ucieszy zapewne, że te bryki coraz częściej kupują kobiety, a pokolenie Zetek, że przybywa Jędrachowi młodych klientów.

Dyrektor Bentleya podkreśla, że w Europie kontynentalnej Warszawa jest piątym największym rynkiem, wyprzedzając Monako, a nawet Paryż. Dodajmy, co szczególnie istotne w kontekście niedawnego zaćmienia słońca, że w Polsce przygotowuje się specjalną serię Copernicus, niejako inspirowaną tym, że holenderscy dilerzy marki stworzyli serię związaną z van Goghiem.

Jak wyjaśnia Jędrach, będzie to rzecz wybitnie ekskluzywna: „Mówimy o zaledwie trzech egzemplarzach, z których każdy jest inny. Każdy samochód powstaje w konfiguracji jeden z jednego i nigdy więcej nie zostanie zbudowany identyczny egzemplarz. Dlatego chcieliśmy, aby inspiracje również miały charakter ponadczasowy. Jeden z samochodów nawiązuje do Słońca, drugi do Ziemi, a trzeci do Księżyca. Wszystkie trzy motywy łączą się z ideą kopernikańską”.

Dodajmy, iż Bentley jest częścią koncernu Volkswagena, producenta aut cenionych przez biedotę, nabywającą poniżej ceny dobrego roweru zajeżdżone w Niemczech 25-letnie Passaty. Jak widać, Niemiec potrafi przygotować coś na każdą kieszeń, nawet tak mało zasobną jak żyjących za polską pensję minimalną!

Jestem pewna, że dojeżdżający półtorej godziny zdezelowanymi busikami do roboty ludzie docenią, gdy wyprzedzi ich taki Bentley czy Ferrari. Podziwiać wszak można za darmo!

Nie szata zdobi człowieka

Zanim się jednak wyjdzie z domu – czy to podróżując autobusem miejskim marki Mercedes, czy to wziętym na firmę Astonem Martinem – trzeba się jakoś ubrać. I tu kapitalizm, ów wielki niwelator – wszystko zrównuje z pieniądzem, chce zedrzeć z każdego i każdej na równi! – ma przygotowaną kosmicznie szeroką ofertę. Najbardziej zadowolone są z niej kobiety, już w starożytności wszak komentatorzy narzekali, że umiłowanie bogatych pań do zbytkownych strojów i dodatków kosztuje majątek.

Na szczęście majątku nie trzeba wydać w sklepach z używaną odzieżą, przy czym koneserzy – a zwłaszcza koneserki – przychodzą na dzień przed nową dostawą, gdy wszystko można kupić nawet za mniej niż dychę od sztuki.

Żaden mężczyzna, choćby był tęgim filozofem, nie ma pojęcia, ile może zmieścić damska torebka. Choćby taka z typu shopper z Pepco, za całe 10 zł, przy czym można wybrać wersję ze lśniącym dołem w kolorze złotym.

Kobietom o nieco zasobniejszych portfelach poleca się torebkę o wdzięcznej nazwie Neverfull Inside Out MM. Do zdobycia na polskiej stronie internetowej, jaką właśnie stworzył Louis Vuitton. Gdy już zapłacimy te skromne 15,5 tys. zł – jak uczciwie przestrzega sklep, ze względu na duże zainteresowanie produkt zostanie wysłany za 3 do 4 tygodni. Ten model cechuje się „tradycyjnym wzorem Monogram Dune, oddającym ducha lata. Ta torebka jest wykonana z płótna z jednej strony, a z drugiej ze skóry. Zdobią ją skórzane wykończenia i kolorowe detale”.

W epoce zmian klimatycznych trzeba zadbać o oczy. Tu jak raz przydadzą się okulary przeciwsłoneczne LV Aura Flower Pilot, kosztujące skromne 1810 zł – głupie pół pensji minimalnej na rękę. Wyróżniają się one „smukłym, charakterystycznym designem inspirowanym klasycznymi oprawkami z lat 70. Kolorowe soczewki efektownie kontrastują z gradientowymi oprawkami z acetatu, których delikatnie fazowane wykończenie nadaje całości kobiecy charakter”…

Nie ma się co krzywić, że Chińczycy z Temu czy Shein oferują okulary ponad sto razy tańsze. Choć i tu trzeba uważać. Niedawno UOKiK przeprowadził badanie jakościowe okularów przeciwsłonecznych i okazało się, że te z Pepco są wyższej jakości niż te od Armaniego. Okazało się, że

okulary Emporio Armani (EA 4205) powodują zakłócenia w rozpoznawaniu czerwonego koloru sygnalizacji świetlnej, mogą być zatem niebezpieczne dla kierowców. Wcale mi ich nie żal. Ich wina. Jakby wzięli te z Pepco, nie mieliby takich problemów.

Stan umysłu czy portfela?

Powyższe porównanie można ciągnąć wręcz w nieskończoność. Gdy jedni pławią się w luksusach, inni pilnie śledzą grupę na Fejsie „Biedawka”, gdzie rozpaczliwie próbujący utrzymać się na powierzchni ludzie dzielą się przepisami, jak za grosze przyrządzić jedzenie. Gdy jedni wertują gazetki reklamowe Biedronki i Dino, aby mieć co do gara włożyć, drudzy zastanawiają się, czy można drugi raz pokazać się w tej samej kreacji w restauracji z gwiazdką Michelin.

Jak mawia stara mądrość ludowa: czemuś biedny, boś głupi, czemuś głupi, boś biedny. W końcu celebrytka Julia Wieniawa – jej stołeczny apartament, wedle Onetu, „to przykład połączenia nowoczesnych rozwiązań z elementami retro, które nadają wnętrzom niepowtarzalny klimat. Przemyślana aranżacja salonu, funkcjonalna kuchnia oraz imponująca garderoba sprawiają, że mieszkanie artystki cieszy się dużym zainteresowaniem wśród jej fanów” – wprost powiedziała, że bieda to stan umysłu.

Rzecz jasna, portale plotkarskie z życia gwiazd i gwiazdeczek pełne są opowieści o tym, że bogaci też cierpią, lecz cierpią w luksusowych warunkach, o czym nigdy nie omieszkają powiedzieć każdemu, kto chce, a nawet i nie chce, słuchać. Lubią niekiedy pouczyć, że pieniądze szczęścia nie dają, ale ci podli i niewdzięczni biedni wciąż chcieliby się o tym przekonać na własnej skórze.

Jak trafnie zauważa w jednej ze swych książek Zygmunt Bauman, „Pogłębiająca się przepaść oddzielająca rzesze ludzi biednych i pozbawionych perspektyw od jednostek dobrze sytuowanych, tryskających optymizmem, pewnych siebie i krzykliwych – a przepaść ta jest już na tyle głęboka, że pokonać ją mogą tylko najsilniejsi i mający najmniej skrupułów – to dostateczny powód do ogromnego niepokoju”.

Nie ulega wątpliwości, że można czasem ogłupić niektórych, ale nigdy nie da się ogłupić wszystkich. Miliony szaraczków nie są takie durne, jak się niektórym wydaje, i widzą, co się dzieje wokół nich.

Wciąż na stole pojawia się pytanie z piosenki punkowego Marszałka: „Jak to jest, że bogaci jeszcze żyją, przecież biednych jest tylu?”. W kraju narasta podskórnie nienawiść do elit ekonomicznych i niejedna osoba widząca krezusów ma cichą, lecz upartą nadzieję, że zaraz za rogiem ktoś im jebnie łomem w łeb, a przynajmniej porysuje kluczami karoserię wypasionej bryki.

Przed rokiem 1917 rosyjskie elity też się fajnie bawiły i żyły na bogato, lecz szybko okazało się, że już nie musieli się martwić o swój majątek, lecz o własne życie. Obawiam się, że przed gniewem biednych nie da się uciec nawet Bentleyem, choć Elon Musk sugeruje spieprzenie przed nim na Marsa…

KAT

Jeśli usłyszycie polityka przekonującego, że trzeba podnieść kary, zabijcie go śmiechem

Zakarani



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kiedy niemal 30 lat temu uchwalano obowiązujący do dziś kodeks karny, jego twórcy zakładali, że będzie on aktem stabilnym. Profesorowie prawa karnego przekonywali, że kodeks nie może zmieniać się po każdym głośnym zabójstwie czy medialnej aferze, bo ma wyznaczać trwałe standardy odpowiedzialności karnej. Z tamtych założeń nie zostało właściwie nic. Kodeks nowelizowano już ponad sto razy. Niemal każda większość parlamentarna uznawała, że bezpieczeństwo obywateli poprawi się przede wszystkim przez dopisanie kolejnych lat więzienia do poszczególnych przepisów.

Się nie odciska

Trudno znaleźć w polskim prawie karnym przestępstwo, przy którego okazji politycy tak chętnie prześcigaliby się w okazywaniu własnej surowości, jak zgwałcenie. Każda głośna sprawa kończy się niemal identycznym scenariuszem. Najpierw przez kilka dni media pokazują dramat pokrzywdzonej, następnie politycy wszystkich ugrupowań zapewniają, że „takie bestie powinny gnić w więzieniu”, po czym minister sprawiedliwości zapowiada kolejną nowelizację kodeksu karnego.

Kodeks karny w 1998 r. przewidywał za zgwałcenie z karę od roku do 10 lat odsiadki. Jeżeli sprawca działał wspólnie z inną osobą albo ze szczególnym okrucieństwem, sąd mógł wymierzyć od dwóch do 12 lat pierdla. Za obcowanie płciowe z osobą poniżej 15. roku życia można było dostać tyle co za gwałt. Pierwsza korekta nastąpiła w 2005 r. Od tego czasu za gwałt dostawało się od dwóch do 12 lat. Zgwałcenie zbiorowe oraz zgwałcenie małolata wyceniano od trzech do 15 lat.

Ale 15 lat za kratami przestało robić na politykach PiS wrażenie. Co prawda widełek za standardowy gwałt nie zmieniono, ale pojawiły się jego kwalifikowane postacie wyceniane od trzech do 20 lat. Ba, w najcięższych przypadkach, zwłaszcza dotyczących małoletnich lub połączonych z wyjątkową brutalnością, sąd mógł wymierzyć 30 lat odsiadki, a nawet dożywocie.

Gdyby wierzyć politykom, po takiej serii zaostrzeń Polska powinna była niemal wyeliminować przestępstwa seksualne. Jednak po noweli z 2005 r. liczba stwierdzonych przestępstw nie zaczęła jednak gwałtownie spadać. W samym 2005 r. policja odnotowała 1987 zgwałceń i wymuszeń czynności seksualnej, a rok później – już po wejściu w życie ostrzejszych przepisów – liczba ta wzrosła do 2212. Dopiero w następnych latach rozpoczął się długotrwały trend spadkowy, który doprowadził do tego, że w 2015 r. zgwałceń

eprasa.pl 059cca5cd1

Ani wolni, ani równi, ani solidarni

Schizofrenia liberalna



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Liberał sprytnie mistyfikuje demokrację przeciwstawioną reżimom autokratów: dyktaturom w rodzaju wenezuelskiego chavismo czy chińskiego i kubańskiego „komunizmu". Zawsze broni „wolnego świata" – ale wolnego dla kogo?

Liberałowie byli postępowi, kiedy znosili powiązanie praw politycznych z pozycją stanową członka feudalnego społeczeństwa; kiedy dążyli do usunięcia renty gruntowej przypadającej właścicielowi ziemi, a podnoszącej ceny żywności. Natomiast liberalizm jako ideologia nowego kapitalistycznego społeczeństwa sprytnie ukrywa dyktaturę kapitalisty jako właściciela warunków pracy – mowa o zasobach pieniężnych, które umożliwiają zakup techniki, surowców, energii i pracy ludzkiej traktowanej jak towar.

Szwindel wspólnoty

Szwindel polega tu na rozbiciu wspólnoty życia i pracy na społeczeństwo obywatelskie oraz na wyimaginowaną wspólnotę polityczną (narodową). W pierwszej zbiorowości jedni są prywatnymi właścicielami środków pracy, a drudzy rozporządzają tylko swoją siłą roboczą. Jeśli chcą przeżyć, muszą się wystawić na sprzedaż na „wolnym" rynku. Znajdują się więc w sytuacji przymusu egzystencjalnego. Tu ludzie mają różne społeczne adresy. Jedni rezydują w nowobogackim pałacu, drudzy – gnieżdżą się w wynajętym lub kupionym na kredyt mieszkaniu. Trzyma on na smyczy w jakimś korpo przez dekady.

Żyjemy w świecie, w którym wszyscy mają jakiś kapitał. Tylko jedni mają w portfelu miliardowej wartości akcje, a pozostali karty debetowe i rachunki do zapłacenia, a kapitał – ludzki.

Żeby właściciel kapitału ludzkiego czuł się równy Januszowi czy Rafałowi biznesu, z pomocą przychodzi demokracja wyborcza. To niby narzędzie urabiania woli zbiorowej i selekcji jej wykonawców; do tego służy aparat państwa.

Ten rodzaj demokracji to efekt metamorfozy, dzięki której i błogosławiony dający pracę, i wolny najmita stają się ludźmi równymi. To jakby nowotwór na ciele społeczeństwa obywatelskiego. Liberałowie zwą go dumnie „wspólnotą polityczną". Ci, co mówią: „po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy" – wolą określenie „wspólnota narodowa".

W tej nowej wspólnocie ludzie mają po jednym głosie jako wyborcy, wolno im się organizować, uczestniczyć w mitingach wyborczych, nawet zadawać pytania i formułować opinie. Ale przecież to fikcja równości – ich głosy są tylko formalnie równe, bo nie przestają wszak być członkami społeczeństwa obywatelskiego. A w nim najmita może sobie wybrać tylko pracodawcę. Wówczas zrzeka się swojej wolności, bo jest tylko właścicielem siły roboczej. Pracodawca natomiast – właściciel jego warunków pracy – nie musi sprzedawać swojej wolności. Mamy tu do czynienia z relacją asymetryczną i klasową. Dlatego w „społeczeństwie obywatelskim" faktyczna nierówność ze względu na klasowe położenie czyni fikcją równość polityczną we wspólnocie narodowej. Orędownikiem takiej wspólnoty „obywatelskiej" był m.in. J.J. Rousseau.

W efekcie obywatel to człowiek bez właściwości społecznych – wystarczy mu satysfakcja z przynależności narodowej. To samo dzieje się i u przewodniej siły ludzkości, i w tej czy innej autokracji, w której wybory są często tylko wymuszoną modną dekoracją.

W „wolnym świecie" teoretycznie obywatel może więcej – ale to zależy od reżimu akumulacji kapitału. Większą kontrolę zapewniał reżim zwany fordyzmem. Tutaj rosnąca wielkość produkcji musiała być skonsumowana, stąd wysoki udział płac w PKB. Pole do popisu miała socjaldemokracja. Natomiast w reżimie akumulacji zwanym neoliberalnym dominuje duża rola sektora finansowego (finansjalizacja). Tutaj z kolei dążenie do zysku odrywa się od produkcji. Do tego konieczna się okazała deregulacja rynków, a rywalizujące firmy tną koszty płac, stąd stagnacja zarobków. Powstała złożona sieć kapitałów, której oczka omotały cały glob. To „globalne łańcuchy wartości" – pajęczyna filii, poddostawców, akcjonariuszy oplatająca planetę. W tej sieci utknęli szeregowi pracownicy. Muszą się oni cieszyć byle czym. Taki los spotkał w Stanach Zjednoczonych najpierw Indian, Afroamerykanów, Chińczyków, Latynosów, w końcu biedotę ze wschodu i południa Europy.

Telemeledemokracja jak guma do żucia

Demokracja wyborcza – oparta na wiecowej retoryce, marketingu, grze na emocjach – miała wyważać różne interesy grupowe, by „pożytek wspólny" brał górę nad „pożytkiem prywatnym". Ale jak powściągać apetyty tych zbójeckich tytanów przedsiębiorczości, którzy zawsze tworzą imperia węgla i stali, samochodów i samolotów, platform cyfrowych i rakiet do turystyki kosmicznej? A więc figur takich jak: Richard Arkwright, John D. Rockefeller, Emil Kirdorf, John Ford… Obecnie kalifornijscy doliniarze na czele z Elonem Muskiem. Mają cały kufer narzędzi, żeby zdalnie sterować państwem – od subwencji i ulg podatkowych, po podboje tych rejonów świata, gdzie jest tania siła robocza, surowce, żyzne ziemie.

Kto w tej sytuacji miałby się zająć problemami, przed którymi stanęły społeczeństwa uwikłane w kapitalizm wzrostu i masowej konsumpcji? Staje on przed środowiskową, ekologiczną barierą dalszego rozwoju. Co gorsza, wyzwania mają charakter globalny, a ludzkość podzielona jest na odrębne wspólnoty, którymi rządzą politycy wyłonieni z bojów na miny, pozy i słowa. Są oni, jak pokazuje praktyka, marionetkami biznesu: bronią „konkurencyjności" i „wolnej przedsiębiorczości"… Wspiera ich na dodatek marketingowa pseudonauka zwana „ekonomią głównego nurtu", z ojcem duchowym nadwiślańskich liberałów Friedrichem A. Hayekiem na czele. Podtrzymują oni fikcję samoregulującego się rynku i przedsiębiorczości, która wybacza wszystko. Liczą się tylko miliony – czy też raczej miliardy – na koncie.

W tej sytuacji demokracja wyborcza zawodzi. Potrzebne są instytucje, by wymóc na każdym członku wspólnoty „poświęcenie" konieczne, aby zapobiec radosnej apokalipsie, którą już zapowiada zmiana klimatu planety. W obecnych realiach kapitalizmu zdominowanego przez oligarchię rentierów chodzi o poddanie wolnej przedsiębiorczości takim rygorom, by zachować dla kolejnych pokoleń zasoby minerałów oraz energii, a także ekosystemy planety. To one powinny wyznaczać limity dla produkcji i konsumpcji.

Oligarchia i jej marionetki

W tej sytuacji powstaje pytanie: czy przywódców amerykańskich, europejskich i rodzimych nie powinno niepokoić to, że oligarchowie zastępują narodowe parlamenty, debatę publiczną czy uniwersytety? Zachodni politycy chcieliby skierować reflektor uwagi publicznej na autokratów w Wenezueli, Rosji czy Iranie.

Ale czy to wrogowie demokracji są obecnie wrogami ludzkości? Sytuacja jest paradoksalna: ci przywódcy, malowani jako antydemokratyczni, mogą powstrzymywać dalszy pochód modelu kapitalizmu made in USA. A właśnie to on tworzy warunki degradacji planety, pracy i życia ludzkiego.

Dla polskich polityków buksujący kapitalizm jest przezroczysty. W słowotoku o cudach przedsiębiorczości, o mitycznych dokonaniach tej czy innej formacji, o urojonych zagrożeniach z czterech stron świata, w oparach mądrości samozwańczych ekspertów od wszystkiego we wszystkich mediach – ma się skrystalizować opinia społeczno-moralnej ameby, czyli polskiego wyborcy.

Skrystalizować tylko po to, by na kolejną kadencję pozostawić wszystkie ważne decyzje co do przyszłości kraju tym samym marionetkom biznesu? Wszyscy oni to wciąż pierwszorzędni politycy drugorzędni. Dla nich wszystko jest oczywiste i jedynie słuszne. Nie grzeszą myśleniem warunkowym i alternatywnym. Nie stać ich na samodzielną analizę, by jej wynikiem był program reindustrializacji peryferyjnej gospodarki. Nie mają żadnej recepty, jak powstrzymać przesuwanie się UE ku peryferiom; ani na to, by uwolnić ją spod jarzma interesów amerykańskich korporacji zbrojeniowych, cyfrowych, wydobywczych czy funduszy inwestycyjnych. Zamiast dyplomacji i relacji gospodarczych z sąsiadami wybierają zakupy kosztownego, także ekologicznie, przyszłego złomu.

Nasuwa się myśl, że w Polsce ma sens jedynie wybór najmniej miernego, może nawet najmniej obrzydliwego polityka. Można wskazać co najwyżej kilka postaci, którym leży na sercu „pożytek wspólny". Dlatego za rok, jak po każdych dotychczasowych wyborach, te czy inne trupy łowców wyborczych głosów obejmą kierownictwo nad instrumentarium państwa, nad jego prawnymi regulacjami, nad majątkiem publicznym i funduszami zebranymi w formie podatków. Ich nie ucieszy byle co.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

---

zgłoszono 1144, by w 2016 r. ponownie wzrosnąć do 1383.

Jeszcze ciekawiej wygląda to ostatnich kilku latach. W 2022 r. gwałtów było 1084, w 2023 r. – czyli roku wejścia w życie największej podwyżki kar – 1109, natomiast w 2024 r. 1047. Trudno chyba na tej podstawie ogłaszać, że możliwość wymierzenia kary 30 lat więzienia radykalnie coś zmieniła.

Na przestrzeni ostatnich 25 lat laboratoria kryminalistyczne zaczęły rutynowo wykorzystywać badania DNA. Policja uzyskała dostęp do znacznie nowocześniejszych baz danych. Powszechny stał się monitoring miejski i prywatny. Telefony komórkowe zapisują historię logowania do stacji bazowych. Wszystko to pomaga złapać sprawcę i – zdaniem kryminologów – odstrasza skuteczniej niż kolejne dopisywane do kodeksu lat więzienia. Ale politycy wolą mówić o wysokości kary niż o pracy laboratoriów, bo znacznie łatwiej zwołać konferencję prasową i oznajmić, że od jutra gwałcicielowi będzie groziło 50 lat odsiadki, niż pochwalić się zakupem nowych analizatorów DNA.

Jazda wielokrotnie bezprawna

Chyba żadna grupa nie doczekała się tylu kolejnych nowelizacji co kierowcy. W ciągu ostatnich 20 lat każdy minister sprawiedliwości i jego kolega od infrastruktury uznawali za swój obowiązek ogłoszenie kolejnej ofensywy przeciwko piratom drogowym, zapewniając, że dzięki nowym przepisom na drogach będzie bezpieczniej.

Z najistotniejszych zmian warto odnotować, że w 2015 r. weszło w życie prawo pozwalające odebrać prawo jazdy na trzy miesiące kierowcy przekraczającemu prędkość o ponad 50 km/h w terenie zabudowanym. Dla PiS było to zdecydowanie za mało. W kolejnych latach podnoszono zatem sankcje za prowadzenie pojazdu po alkoholu, za łamanie sądowych zakazów prowadzenia pojazdów, za ucieczkę z miejsca wypadku oraz za spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym. Wprowadzano coraz dłuższe zakazy prowadzenia pojazdów, a recydywistom drogowym zaczęto grozić karami wieloletniej odsiadki.

Prawdziwego przełomu dokonała jednak dopiero ustawa z 2022 r., która weszła w życie w 2024 r. Pojawił się jeden z najbardziej medialnych środków karnych ostatnich lat, czyli przepadek samochodu, gdy kierowca ma co najmniej 1,5 promila alkoholu we krwi albo spowoduje wypadek z wynikiem przekraczającym 1 promil.

Nieco wcześniej, od 1 stycznia 2022 r., zaczął obowiązywać nowy taryfikator mandatów. Maksymalny mandat wzrósł z 500 zł do 5 tys. zł, a przy zbiegu wykroczeń nawet do 6 tys. zł.

Za obecnej władzy wprowadzono kary za przestępstwa związane z organizowaniem i uczestnictwem w nielegalnych wyścigach ulicznych oraz z tzw. brawurową jazdą powodującą zagrożenie dla życia i zdrowia. Co może ma sens dla ludzi, którzy nie maja pojęcia o realiach, ale nie dla tych, którzy znają statystyki, a te pokazują, że odebranie prawa jazdy wzbudza u ukaranych śmiech. Widać to w przypadku najgłośniejszych procesów związanych z piractwem drogowym, gdzie sprawcy mieli po kilka aktualnie obowiązujących zakazów prowadzenia. A to dlatego, że policja, mając listy osób bez prawka, nie raczy się na nich zasadzić, gdy siadają za kierownicami, wyjeżdżając rano do pracy.

Jednocześnie prawdą jest, że liczba ofiar śmiertelnych wypadków drogowych maleje. Na początku wieku na polskich drogach ginęło ponad 5 tys. osób rocznie. W ostatnich latach liczba ta oscyluje wokół 1,5 tys. Tylko w tym samym czasie zbudowano sieć autostrad i dróg ekspresowych, powstały tysiące rond i postawiono setki fotoradarów oraz urządzeń do odcinkowego pomiaru prędkości.

Kierowca jadący odcinkowym pomiarem prędkości zwalnia nie dlatego, że grozi mu dożywocie, ale dlatego, że wie, iż urządzenie zarejestruje każde przekroczenie prędkości. Ryzyko kary zbliża się do 100 proc. A człowiek znacznie bardziej obawia się wysokiego prawdopodobieństwa ukarania niż bardzo wysokiej sankcji, której zastosowanie uważa za mało realne. Stąd tam,

gdzie pojawia się monitoring, odcinkowy pomiar prędkości albo częste kontrole trzeźwości, zachowania kierowców zmieniają się natychmiast. Tam natomiast, gdzie państwo ma gdzieś kierowcę z odebranym prawem jazdy, pali się gumy i robi się bum.

Surowość niestrasząca

Największa rewolucja w karach za przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu, mieniu i bezpieczeństwu w komunikacji nastąpiła w pisowskiej noweli-zacji z 2022 r., która miała pokazać społeczeństwu, że władza pragnie, by było bezpiecznie. Karę 25 lat zastąpiono 30 latami. Rozbój zagrożony wcześniej od dwóch do 12 lat więzienia, teraz sądy mogły wyceniać do 15 lat. Górna granica za rozbój z użyciem broni skoczyła z 15 do 20 lat. Za zabójstwo, które wcześniej zagrożone było karą od ośmiu do 15 lat, karą 25 lat albo dożywociem, teraz można dostać od 10 do 30 lat albo dożywocie. W artykule dotyczącym ciężkiego uszczerbku na zdrowiu górne widełki wzrosły z 15 do 20 lat. Podwyższono sankcje za korupcję i przestępstwa gospodarcze do 15, a nawet 20 lat za kratami. Trudno było znaleźć przestępstwo, za które kar nie podniesiono.

Recydywiści są ta grupą, która wskutek wysokich kar winna się kurczyć. Ale jakoś tak nie jest. Kodeks karny z 1997 r. traktował recydywę surowiej niż pierwszy konflikt z prawem. Sąd mógł wymierzyć karę do górnej granicy widełek powiększony o połowę. Recydywista był kimś, kogo kodeks już z definicji nakazywał traktować ostrzej. Według Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości w latach 2000–2017 sądy skazywały rocznie od 11 do 19 tys. osób z zastosowaniem przepisów o recydywie. Wśród osób, które zakończyły odsiadkę w 2016 r., w ciągu pięciu kolejnych lat ponownie skazano 39,5 proc. Wśród warunkowo zwolnionych było to 35,2 proc., a wśród tych, którzy odsiedzieli karę do końca – 40,7 proc.

Podobne wyniki przyniosło nowsze badanie osób, które opuściły pudła w latach 2018–2019. Ponownie skazano 43,7 proc. tych, którzy wyszli po odbyciu pełnej kary. To chyba najlepiej pokazuje, że procent recydywistów w ogóle nie zależy od wysokości kary. Bo kto jak kto, ale oni kodeks karny znają na pamięć i wiedzą, ile za co się dostaje. A jednak wracają za kratki. I właśnie tu najlepiej widać bankructwo kodeksowego populizmu.

Vox populi chce, żeby sprawca „dostał jak najwięcej", lecz prawo karne pisane pod gniew tłumu jest jak lekarstwo dobierane przez sondaż – może smakować, ale nie uzdrawia. Bo surowość daje władzy oklaski, ale to nieuchronność kary daje społeczeństwu bezpieczeństwo.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 059cca5cd1



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Odsetki pozorności

Na warszawskim Zaciszu ludzie żyją spokojnie. Wszystko tu jest przewidywalne, poza jednym – panem Adamem. Pan Adam mieszka na czwartym piętrze w bloku z wielkiej płyty. Czynszu nie płacił od lat, ale nie to wyróżniało go spośród innych lokatorów. Jego specjalnością była umiejętność zostania nieobecnym. Kiedy spółdzielnia wniosła przeciwko niemu sprawę o zaległości w wysokości 2,2 tys. zł, proces wydawał się prosty. Nakaz zapłaty, komornik, zajęcie rachunku i po sprawie. Ale pan Adam od lat trenował strategiczną ciszę.

Chcieć to móc

Listonoszka twierdzi, że w jego mieszkaniu zawsze paliło się światło. Że ktoś chodził, że telewizor grał, ale kiedy wołała: „Awizo dla pana Adama!", nagle cały lokal zamierał. „Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak konsekwentnie nie odbierał listów" – opowiadała. A listy wracały jak bumerang: „nie podjęto w terminie". Sąd prosił spółdzielnię o nowy adres. Spółdzielnia odpisywała, że pan Adam mieszka tu od 1998 roku. „To dlaczego nie odbiera?" – pytał sąd. „Gdybyśmy wiedzieli, bylibyśmy bogatsi" – odpowiadała spółdzielnia.

Po sześciu miesiącach proces zawieszono. Po kolejnym kwartale – umorzono, bo „nie można ustalić miejsca pobytu pozwanego", o którym cała klatka wiedziała, że siedzi w domu i ogląda „Familiadę". Sąsiadka z trzeciego piętra twierdziła, że widziała go, jak otwiera drzwi tylko wtedy, gdy kurier przynosił karmę dla kota, ale listonoszkę rozpoznawał po krokach.

To nie wszystko. Po latach okazało się, że pan Adam pracował dorywczo na czarno. Że płacił gotówką. Że nie prowadził konta bankowego, a jeśli nawet kiedyś miał, to zniknęło tak samo jak on dla sądu. Dług się przedawnił. Spółdzielnia przegrała z człowiekiem, który wygrał, nie otwierając drzwi.

Poznań to miasto, w którym tramwaje jeżdżą punktualnie, a ludzie płacą podatki. Przynajmniej większość. Pan Krzysztof żył tu normalnie. Praca, mieszkanie, rachunki opłacone, PIT-y złożone. Jedyną rzeczą, której nie złożył, była informacja o zmianie adresu w 2007 r.

W 2005 r. wziął pożyczkę – 500 zł. Po dwóch latach zmienił mieszkanie. Po czterech – zapomniał, że dług istnieje. A w 2021 r., sprawdzając saldo konta, dowiedział się, że dług nie tylko istnieje, ale urósł do ponad 250 tys. zł. Poszedł do komornika na Jeżycach.

„Skąd ta kwota?"

„Z długu".

„Ale ja nie dostałem żadnego pisma!"

„Według akt sądowych dostał pan wszystkie".

„Ale ja tam nie mieszkam od lat!" – odparł, patrząc na kwity.

„Według papierów mieszka pan tam do dziś".

Sąd przez 16 lat wysyłał pisma na adres z 2005 r. Nikt nie weryfikował, czy pan Krzysztof jeszcze tam jest. A ponieważ nie odbierał, uznawano doręczenia za skuteczne.

„Panie, jak można doręczyć coś komuś, kto tam od dawna nie mieszka?" – pytał komornika.

„Prawo mówi, że można" – odpowiedział komornik.

Gdy sprawą zainteresował się prokurator generalny, pojawiła się szansa na odwrócenie losów pana Krzysztofa. W końcu Sąd Najwyższy uchylił nakaz zapłaty, uznając, że nie można egzekwować długów, o których dłużnik nie miał fizycznej możliwości się dowiedzieć.

Ale dla pana Krzysztofa trzy miesiące życia z zablokowanym kontem były jak trzy lata. „Najgorsza była świadomość, że mogę zapłacić 280 tysięcy za to, że się kiedyś przeprowadziłem" – mówił.

Na ulicy Rejtana w Rzeszowie każdy zna pana Jarka. Zrobi elewację, położy płytki, wymieni parapety – złota rączka. Ktoś powie: fachowiec pierwsza klasa. Ktoś inny: dłużnik pierwszego sortu. Bo pan Jarek ma dług 47 tys. zł wobec hurtowni budowlanej.

„Oddam" – zapewniał właściciela hurtowni już w 2021 r.

„Odda pan, jak pan będzie miał z czego" – odpowiadał właściciel.

Ale pan Jarek miał z czego. Tyle że nie na papierze. W pewnym momencie jego wpis w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) wygasł. A w Polsce działalności bez wpisu nie ma. Dla sądu, dla komornika, dla ZUS nie istnieje. Gdy hurtownia wniosła sprawę o zapłatę, nakaz poszedł na adres firmy. I wrócił. „Adresat nieznany". Sąd poprosił o nowy adres. Dostał ten sam.

Komornik próbował zająć konto. Bank odpisał: „Klient nie posiada rachunku firmowego". Prywatnego komornik nie mógł zająć, bo tytuł egzekucyjny dotyczył działalności. Komornik próbował więc zająć sprzęt. Sprzęt był, ale w garażu ojca. A ojciec nie był stroną postępowania. Komornik zapytał o samochód. Był, ale rejestrowany na brata. Hurtownia przez cztery lata odzyskała dokładnie zero złotych.

Dług na wagę złotego

Rynek wierzytelności, bo i taki mamy, osiągnął w Polsce wartość blisko 200 mld zł i rośnie szybciej niż jakikolwiek inny segment sektora finansowego. To miejsce, gdzie długi nie znikają, tylko zmieniają właściciela. A co najciekawsze – i jednocześnie najbardziej dwuznaczne – wartość tego długu przestaje mieć cokolwiek wspólnego z kwotą, którą zobowiązany jest oddać dłużnik. 10 tys. zł? Dla dłużnika to wciąż 10 tys. zł, ale dla inwestora, który kupił tę wierzytelność, może to być 500 zł, 1 tys., a czasem ledwie 100 zł.

Na papierze wszystko wygląda schludnie: Banki, operatorzy telefonii, firmy pożyczkowe czy sklepy internetowe kiedy widzą, że klient nie płaci, sprzedają dług. Nie chcą latami użerać się z windykacją, pisać wezwań, czekać na komornika, tylko zyskać gotówkę i wyczyścić bilans. Co więcej, regulacje wymuszają na nich pozbycie się części przeterminowanych wierzytelności, bo te psują współczynniki wypłacalności. Dla instytucji finansowej nieściągalny dług to kula u nogi – dla funduszu inwestycyjnego lub firmy windykacyjnej to okazja.

Dalej zaczyna się gra. Pakiet wierzytelności nominalnie wart 10 mln zł sprzedawany jest za jeden, może dwa miliony. Nowy właściciel przez lata odzyskuje pieniądze od dłużników – tu ugoda, tam komornik, gdzie indziej po prostu wysyłka listów i telefonów. Jeśli odzyska 5 mln zł – zarabia, jeśli 6 mln – zarabia świetnie, a jeśli 9 mln – robi wynik, który w świecie inwestycji uchodzi za majstersztyk. Wszystko zgodnie z prawem. Wszystko zgodnie z rachunkiem ekonomicznym.

Wyobraźmy sobie sytuację, gdy człowiek ma do spłaty 100 tys. zł. Wierzyciel sprzedaje jego dług funduszowi za 5 tys. Człowiek ten – gdyby miał te 5 tys. – nie może odkupić swojej wierzytelności. Nie ma takiej opcji. Nie ma mechanizmu. Nie ma procedury. Bo

firmy windykacyjne z zasady nie sprzedają długu dłużnikowi ani nikomu z nim związanemu. Bo to zagraża modelowi biznesowemu. Bo to może wyglądać na pranie pieniędzy.

Dłużnik bez wyjścia

A gdyby było inaczej, dziesiątki tysięcy ludzi mogłyby spłacić swoje długi szybko, bez odsetek, bez kosztów komorniczych i kancelaryjnych, po cenie rynkowej. Ale nie mogą. Mogą co najwyżej rozmawiać o rozłożeniu na raty, mogą błagać o ugodę, mogą żebrać o umorzenie części odsetek. Choć cena ich długu już dawno została ustalona i zapłacona przez kogoś innego.

Dla dużych firm zakup długów to również narzędzie optymalizacji księgowej, podatkowej, bilansowej. Zakup portfela wierzytelności – nawet bardzo złej jakości – to księgowo pełnoprawne aktywo. W bilansie figuruje jako „należność nabyta", a wydatki na jej zakup są kosztem uzyskania przychodu. Można przesuwać dochody, minimalizować zobowiązania podatkowe, kształtować profil aktywów. To narzędzie, które pozwala zarządzać obrazem finansów firmy, i to całkiem legalnie.

Ale wróćmy do dłużnika. Bo ten może zadać sobie pytanie: „A co, gdybym to ja – przez kogoś znajomego – odkupił swój dług za te kilka procent?". W teorii wyglądałoby to następująco: firma windykacyjna ma do sprzedania pakiet wierzytelności. Wśród nich – dług pana Kowalskiego na 100 tys. zł. Pojawia się nabywca: spółka z o.o., której właścicielem jest Jan Nowak. Składa ofertę kupna całego pakietu lub tylko tej konkretnej wierzytelności. Płaci 5 tys. zł. Staje się nowym wierzycielem. Po transakcji ustala z Kowalskim „ugodę" – na symboliczną spłatę, może całkowite umorzenie. Dług znika, a Kowalski ma czyste konto.

W teorii – wszystko zgodnie z prawem. W praktyce – system aż huczy od ostrzeżeń. Bo transakcja, w której dłużnik sam odkupuje swój dług, wygląda podejrzanie, może zostać zablokowana, unieważniona, a nawet zgłoszona do odpowiednich organów. A jeśli wierzyciel, windykator lub sąd dowiedzą się, że nowy nabywca był słupem, czyli podmiotem podstawionym działającym w imieniu dłużnika, cała operacja może zostać uznana za czynność pozorną, czyli nieważną. Kodeks cywilny mówi o tym wprost. A jeśli sprawa dotyczy dłużnika objętego egzekucją, restrukturyzacją lub postępowaniem upadłościowym, to gra w „kupowanie siebie przez znajomych" może wylądować w prokuraturze. I to nie za głupotę, ale za udaremnianie zaspokojenia wierzycieli.

Gdzieś między przepisami kodeksu cywilnego a modelami wyceny portfela wierzytelności zgubił się człowiek. Człowiek, który nie miał pieniędzy, żeby zapłacić bankowi, a dziś płaci pięć razy więcej, niż ten bank dostał od funduszu. Człowiek, który – gdyby dostał tę samą ofertę co windykator – może i wyszedłby na prostą. Ale nie dostał. Bo nie miał prawa.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Na warszawskiej Wisłostradzie odbyła się defilada z okazji Święta Wojska Polskiego. Wzięło w niej udział około 2 tys. żołnierzy i 300 pojazdów wojskowych. Nad głowami Warszawiaków przeleciały również myśliwce Luftwaffe z Balkenkreuzami na statecznikach. Skrzydło w skrzydło z naszymi „Jastrzębiami", oznaczonymi biało-czerwoną szachownicą. Ostatni raz podobnie malowniczy widok Warszawiacy mieli okazję podziwiać 87 lat temu.

▮ 63-letni przybysz z Azerbejdżanu, prowadząc autobus linii 23 z Katowic do Zabrza, wydmuchał 2,75 promila. Niestety, policja w Rudzie Śląskiej wykazała się rażącym brakiem zrozumienia dla obcych kultur. Sąd wlepił mu pół roku bezwzględnego pensjonatu i 20 tys. zł za bilet wstępu. Biedny muzułmanin! Uciekł od Allaha, który surowo zabrania pić, prosto w objęcia polskiego wymiaru sprawiedliwości, który surowo zabrania dawać się złapać. To się nazywa zderzenie cywilizacji na pełnym gazie.

▮ Na warszawskiej ulicy Karmelickiej policja uziemiła 15-letniego pirata drogowego, który dosiadał elektryczny motocykl w kolorze wściekłego różu. Maszyna zdolna pędzić setką nie miała ani homologacji, ani ubezpieczenia, za to posiadała ambitny napis na ramie: *no risk – no fun*. Różowy rydwan trafił na policyjny parking, a buntownik – w objęcia mamusi. Teraz o tym, ile „funu" jest w ryzyku, pouczy go sędzia rodzinny. Sentencja zapewne będzie brzmiała: *more risk, more trouble.*

▮ 70-letnia dama ze Stargardu udowodniła, że jesień życia w Polsce może być nie tylko smutna, ale i kurewsko kosztowna. Za jeden niefortunny skręt pod prąd, którym złamała dwa zakazy naraz, lokalna policja wystawiła jej rachunek na 10 tys. zł. To prawdopodobnie rekord świata w kategorii „najdroższe sto metrów przejechane przez emerytkę". Wygląda zatem na to, że w Stargardzie prawo o ruchu drogowym ewoluowało w stronę kodeksu Hammurabiego. Skoro za wjazd pod prąd płaci się dychę, to strach pomyśleć, co grozi za ucieczkę przed radiowozem. Pewnie publiczne ćwiartowanie na rynku przy akompaniamencie orkiestry dętej OSP. Przyjezdnym radzę omijać to miasto szerokim łukiem, a mieszkańcom współczuję: życie w miejscu, gdzie pomyłka za kółkiem kosztuje tylko nieco mniej niż godny pochówek. W Stargardzie po prostu taniej jest umrzeć niż pomylić ulice.

▮ Sanepid w Piasecznie z właściwą sobie urzędniczą delikatnością ogłosił, że mieszkańcy Lesznowoli i okolic mają w kranach nie wodę, lecz rzadką próbkę kału. Bakterie grupy coli opanowały rury, więc wydostająca się z nich cieczą nie wolno się myć, płukać zębów, a już broń Boże jej pić – chyba że ktoś marzy o gwałtownej rewolucji żołądkowej w ramach protestu przeciwko władzy lokalnej. Jedyna dozwolona czynność to spłukiwanie toalety. Gratuluję Lesznowolskiemu Przedsiębiorstwu Komunalnemu oraz pani wójt tak spektakularnego sukcesu w dziedzinie biologii. W cywilizowanym świecie nazywa się to katastrofą sanitarną. Mieszkańcom radzę przerzucić się na tanie wino. Jest bezpieczniejsze, smaczniejsze i w przeciwieństwie do lokalnej kranówki nikt do niego oficjalnie nie sika.

▮ Łódzkie lotnisko, ten pomnik niepotrzebności, doczekało się skandalu na miarę swoich marnych możliwości. Prezes Anna Midera wylatuje ze stanowiska, choć niekoniecznie samolotem, bo te w Łodzi bywają rzadziej niż ona w delegacjach. Kontrola ujawniła, że pani prezes spędziła 110 dni w rozjazdach, co w połączeniu z urlopem oznacza, że w biurze była gościem rzadszym niż pasażerowie na terminalu. Z rozmachem za to promowała „uroki miasta" w nocnych lokalach po północy, wydając tysiące na konsumpcję. Tłumaczenie, że pokazywała kontrahentom ul. Piotrkowską o pierwszej rano, jest rozczulające. Spółka lotniskowa generuje 35 mln zł straty rocznie.

▮ W Płocku 33-letni młodzieniec postanowił ulżyć niedoli rodaków spragnionych tanich luksusów. Podszywając się pod komornika, oferował mieszkania i auta z pominięciem licytacji, czyli tak jak Polacy lubią najbardziej: po znajomości i pod stołem. Zanim chciwość klientów zderzyła się z rzeczywistością, zdążył zainkasować 1,3 mln zł. Pokazywał naiwniakom wynajęte przez siebie lokale jako okazje, a ci, omamieni wizją taniochy, płacili bez mrugnięcia okiem. Obecnie „komornik" przebywa w areszcie, gdzie przez najbliższe trzy miesiące będzie mógł licytować co najwyżej miejsce przy oknie. Sprawa jest rozwojowa. Kolejka oszukanych, którzy chcieli być sprytniejsi od prawa, wciąż rośnie. Chciwość to jednak najkrótsza droga do zostania idiotą roku.

▮ Polska służba zdrowia wreszcie znalazła sposób na wyjście z długów: postanowiła przestać istnieć. Od początku roku 36 szpitali złożyło wnioski do NFZ o likwidację oddziałów, uznając słusznie, że najlepszym pacjentem jest ten, którego nie ma, a najtańszym szpitalem – ten zamknięty na cztery spusty. W Pabianicach zlikwidowano położnictwo, bo tamtejsze kobiety rodzą rzadziej niż raz na dobę. W Katowicach i Pile stawiają na okulistykę, ale tylko w dzień. To logiczne – w nocy i tak oczy są organem nieprzydatnym. Naród wymiera, więc inwestowanie w ratowanie resztek populacji to jak kupowanie karnetu na siłownię dla szkieletu. Po co umarłemu kadzidło?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

▮ Polacy to naród nieuleczalnych malkontentów. Kiedy słońce mocniej przygrzewało, 300 delikwentów pobiegło z płaczem do Państwowej Inspekcji Pracy, bo im w magazynach i biurach pot spływał po tyłkach. Skarżyli się na brak wody i niesprawną klimatyzację. W kabinie dźwigu PIP zmierzył 35 st. C. Szczególne poruszenie wywołał jeden brukarz, który postanowił umrzeć w pełnym słońcu przy 38 st. C. Jeden jedyny trup na cały wielki kraj! Toż to wynik wręcz fenomenalny, świadczący o nadludzkiej odporności polskiego organizmu. Zamiast nasyłać kontrole rząd powinien ogłosić narodowy sukces: jesteśmy narodem ognioodpornym, gotowym na prawdziwe piekło.

▮ Wojna o poligon drawski to jedyny konflikt zbrojny w Europie, w którym zamiast czołgów używa się wniosków do MSWiA, a zamiast krwi leje się atrament. Od 2017 r. gminy Ińsko i Kalisz Pomorski toczą ze sobą bój o 335 hektarów ziemi, która dla postronnego obserwatora jest rozjeżdżonym przez gąsienice ugorem, ale dla lokalnych władz stanowi Święty Graal w postaci 200 tys. zł rocznego podatku. Ińsko, wykazując się zachłannością godną XIX-wiecznych kolonizatorów, w 2024 r. wyrwało ten kawałek tortu sąsiadom. Ale Kalisz Pomorski nie zamierzał ginąć w milczeniu. Burmistrz Krzysztof Kurowski, niczym Napoleon wracający z Elby, ruszył w kwietniu do Warszawy, by odzyskać „macierz". I oto sukces: ministerstwo w przypływie łaskawości obiecuje, że w 2028 r. granice wrócą na swoje miejsce, a poligon odzyska swoją właściwą przynależność państwową... to znaczy gminną.

▮ Podziemny triumf pary prezydenckiej. Tunel im. Marii i Lecha Kaczyńskich na Zakopiance, ta dwukilometrowa dziura w górze, pobił właśnie swój rekord życiowy. W niedzielę 9 sierpnia przetoczyło się przez niego 54 829 samochodów, co stanowi ponad dwukrotność dobowej normy. GDDKiA pęka z dumy, jakby ta przepustowość była zasługą patronów, a nie faktu, że naród w popłochu ucieka z miast. Zawsze uważałem, że mrok, beton i spaliny to najbardziej adekwatna oprawa dla upamiętniania tej konkretnej prezydentury.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy wiejskiej i małomiasteczkowej, dokąd cywilizacja zagląda raczej przejazdem. Za ich prawdziwość ani stan umysłowy autorów nie odpowiadamy. Nieprawda ma jednak pewną wartość poznawczą. Dzięki niej łatwiej zauważyć, czym jest prawda.

eprasa.pl 059cca5cd1



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kosztowne marzenia o potędze regionów

Odlot złotówek

W czasach, gdy każde szanujące się województwo chciało mieć lotnisko, samorządowcom wydawało się, że do rozwoju regionu wystarczą pas startowy, terminal i uroczyste przecięcie wstęgi. Samoloty miały przylecieć same, pasażerowie ustawić się w kolejce, linie lotnicze błagać o możliwość uruchomienia połączeń, a zagraniczni inwestorzy zlatywać całymi stadami.

Im więcej, tym mniej

Port Lotniczy Olsztyn-Mazury zakończył 2025 r. stratą netto wynoszącą 19,54 mln zł. O 1,8 mln zł gorzej niż rok wcześniej. Zarządzająca portem spółka Warmia i Mazury nie zdołała zarobić na działalności wystarczająco dużo, aby pokryć koszty funkcjonowania obiektu. W przeliczeniu na jednego obsłużonego podróżnego lotnisko straciło 219 zł. Znaczy to, że gdy pasażer wsiadał do samolotu i odlatywał, w księgach portu zostawiał po sobie dziurę wielkości całkiem sporego rachunku za parodniowe zakupy.

Najciekawsze jest to, że w 2025 r. przez Szymany przewinęło się ok. 89 tys. pasażerów, czyli o 23,4 proc. więcej niż rok wcześniej. Samorządowcy mogliby zatem powiedzieć, że ruch się rozwija, lotnisko nabiera rozpędu, a regionalna brama na świat właśnie szeroko się otwiera. Tyle że im szerzej się otwierała, tym więcej pieniędzy przez nią wywiewało. Rok wcześniej port obsłużył ok. 72 tys. osób i zanotował 17,7 mln zł straty. Potem przybyło ponad 17 tys. pasażerów, a strata urosła. Ekonomia w Szymanach działa więc nader interesująco. W normalnym przedsiębiorstwie większa liczba klientów powinna prowadzić do większych przychodów i przybliżać właściciela do zysku. Na samorządowym lotnisku większa liczba klientów doprowadziła do większej straty, co dowodzi, że lokalni włodarze zdołali unowocześnić nie tyle transport, co podstawowe zasady rachunkowości.

Przychody ze sprzedaży zamiast wzrosnąć wraz z liczbą podróżnych, zmniejszyły się z 18,24 mln zł do 18,04 mln zł netto. Sprzedaż stanowiła zaledwie około 18 proc. wszystkich wpływów portu. Czyli działalność, dla której lotnisko teoretycznie istnieje, odpowiadała za mniej niż jedną piątą pieniędzy pojawiających się w spółce. Pozostała kasa pochodziła między innymi z działalności operacyjnej i finansowej. Wychodzi więc na to, że latanie było w Szymanach tylko jednym z dodatków do prowadzenia lotniska, takim jak parking czy automat z kawą.

Za duże, by upaść

Lotnisko w Szymanach otwarto na początku 2016 r., a jego budowa wraz z infrastrukturą drogową i kolejową kosztowała około 200 mln zł. Od uruchomienia skorzystało z niego ponad 860 tys. pasażerów – tyle, ile Okęcie przyjmuje w dwa tygodnie. Przez mniej więcej 10 lat działalności na każdego podróżnego przypadło około 233 zł samego początkowego kosztu budowy, zanim jeszcze doliczy się późniejsze straty, dopłaty i bieżące utrzymanie. Oczywiście droga oraz kolej służą nie tylko pasażerom samolotów, więc obliczenie jest uproszczone. Dobrze jednak pokazuje skalę przedsięwzięcia, które miało zmieniać region, a na razie zmienia głównie kolejne miliony złotych w pozycje po stronie kosztów.

Stuprocentowym akcjonariuszem lotniska jest województwo warmińsko-mazurskie, więc radni we wrześniu 2025 r. postanowili dofinansować port kwotą przekraczającą 16 mln zł, bo nie wypada pozwolić, aby zabrakło pieniędzy na dalsze generowanie strat. Jest to stara zasada inwestycji publicznych – najpierw wydaje się ogromną sumę na obiekt, którego ekonomicznego sensu nikt nie potrafi wykazać, a później wcześniejszym wydatkiem uzasadnia się wszystkie następne. Nie można wszak zamknąć lotniska, które tyle już kosztowało.

Stąd do Afryki

Szymany są jednak wzorem oszczędności, skromności i biznesowej roztropności, gdy zestawi się je z Radomiem. Lotnisko Warszawa-Radom przyniosło w 2025 r. około 61 mln zł straty – trzy razy więcej niż port Olsztyn-Mazury. W tym samym czasie obsłużyło około 95 tys. pasażerów, a zatem tylko o niecałe 6 tys. osób więcej niż Szymany. W Radomiu na jednego podróżnego przypadło więc ok. 642 zł straty. Statystyczny pasażer był dla portu wart więcej niż niejeden bilet lotniczy.

Radomski port zaprojektowano tak, aby mógł obsługiwać około 3 mln osób rocznie. W 2025 r. przyjął 95 tys., czyli wykorzystał mniej więcej 3,2 proc. swojej przepustowości. To tak, jakby ktoś wybudował hotel ze 100 pokojami, przez cały rok wynajmował trzy, a potem zastanawiał się, dlaczego recepcja, restauracja, ochrona, ogrzewanie, windy oraz basen nie chcą na siebie zarobić.

Skoro pasażerowie nie chcieli wypełnić terminalu, Polskie Porty Lotnicze postanowiły zmniejszyć liczbę pracowników. Na lotnisku zatrudnionych jest około 180 osób, z których odejść ma od 20 do 30 proc. Oznacza to zwolnienie lub przeniesienie od 36 do 54 ludzi. Zniknie punkt informacji lotniskowej, ponieważ – jak podano – pasażerowie korzystali z niego sporadycznie. Trudno, żeby korzystali częściej, skoro całe lotnisko obsługiwało średnio około 260 osób dziennie. Przy ośmiogodzinnym dniu pracy dawałoby to średnio 32 pasażerów na godzinę.

Deską ratunku ma być centrum napraw i przeglądów samolotów, zwane z angielska MRO. Ponoć prowadzone są rozmowy z zainteresowanymi. Nikt jednak nie zna nazw firm, wartości inwestycji, terminu rozpoczęcia prac, liczby miejsc pracy ani przewidywanych przychodów. Nie wiadomo więc, czy w Radomiu rzeczywiście będzie się naprawiać samoloty, czy na razie naprawiana jest tylko opowieść o przyszłości lotniska. Ale gdyby samolotów do naprawy także zabrakło, zapewne pojawi się pomysł centrum konferencyjnego, muzeum lotnictwa, magazynów, parku technologicznego albo hodowli ekologicznej trawy wokół pasa startowego.

Nad Radomiem unosi się zresztą nie tylko widmo strat i zwolnień, lecz również prokuratorskiego śledztwa. Postępowanie wszczęto w grudniu, a dotyczy ono podejrzenia niegospodarności i możliwego przekroczenia uprawnień przez byłych menedżerów podczas budowy lotniska. Podstawą zawiadomienia były wyniki audytu PPL, które mieli potwierdzić kontrolerzy Najwyższej Izby Kontroli. Wyszło wszak, że skumulowana strata lotniska Warszawa-Radom do 2032 r. może sięgnąć od 600 do 800 mln zł. Inwestycja pierwotnie miała pochłonąć ok. 480 mln zł. Ostateczne koszty były znacznie większe, w sumie 850 mln zł. W 2018 r. operatorem portu została spółka Polskie Porty Lotnicze.

To jej władze na na podstawie światłego stwierdzenia Marka Suskiego, że z Radomia do Egiptu jest bliżej niż z Warszawy oraz analizy firmy doradczej i projektowej ARUP zdecydowały o budowie nowego terminalu pasażerskiego mogącego obsłużyć nawet 3 mln pasażerów,

wydłużeniu długości pasa startowego do 2,5 km i budowie nowej płyty postojowej. W sprawie przesłuchano około 50 świadków, zabezpieczono wiadomości wymieniane przez dawnych menedżerów PPL z urzędnikami Ministerstwa Infrastruktury oraz dokumentację dotyczącą zakupu gruntów pod port. Fakt prowadzenia tak rozległego postępowania pokazuje jednak, że istnieją ludzie zainteresowani radomskim portem lotniczym. Szkoda tylko, że nie są to właściciele linii lotniczych ani pasażerowie.

Szymany i Radom różnią się skalą strat, właścicielem oraz historią, ale łączy je ta sama urzędnicza wiara, że podaż sama stworzy popyt. Gdy zaś pasażerowie nie przyjdą, zawsze można dopłacić z budżetu, zwolnić część załogi, zamknąć punkt informacyjny albo ogłosić kolejny plan ratunkowy. Wszystko za pieniądze ludzi, którzy często nawet nie wiedzą, jak dojechać na lotnisko utrzymywane z ich podatków. Można oczywiście opowiadać o potencjale, nowych kierunkach, czarterach, naprawianiu samolotów i odciążaniu Lotniska Chopina. Nie zmieni to jednak faktu, że jedyną rzeczą, która z obu portów lotniczych odlatuje regularnie i bez opóźnień, są publiczne pieniądze.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie W DOBROBYCIE

Z pracą w Polsce jest tak znakomicie, że w lipcu, czyli miesiącu, w którym ludzie idą zarabiać pieniądze w budownictwie, rolnictwie, ogrodnictwie, hotelach i knajpach, bezrobocie wzięło i wzrosło, sięgając 5,9 proc. Rok wcześniej było to 5,4 proc. Czerwcowy wynik wynosił zaś 5,8 proc. W lutym mieliśmy 6,1 proc., w marcu również 6,1 proc., w kwietniu 6 proc., w maju 5,9 proc. Czyli z miesiąca na miesiąc było coraz lepiej, aż przyszły wakacje, ruszył sezon turystyczny, ogródki restauracyjne, hotele, budowy, pola i cała reszta letniego biznesu i bezrobocie postanowiło sobie urosnąć. Ciekawiej robi się wtedy, gdy procenty zamienimy na ludzi. Na koniec lipca w urzędach pracy zarejestrowanych było 907,3 tys. bezrobotnych. To o 5,8 tys. osób więcej niż miesiąc wcześniej, tyle że rok wcześniej bezrobotnych było o 76,5 tys. mniej. W ciągu 12 miesięcy liczba ludzi figurujących w urzędowych rejestrach wzrosła zatem o 9,2 proc. Można oczywiście powiedzieć, że przecież pracodawcy szukają ludzi. W lipcu zgłosili 37,8 tys. wolnych miejsc pracy. Było to o 2,9 tys., czyli 8,2 proc. więcej niż miesiąc wcześniej. Gdyby na tym skończyć opowieść, można byłoby ogłosić sukces i iść na kawę. Problem zaczyna się wtedy, gdy zamiast czerwca weźmie się lipiec poprzedniego roku. Wówczas okaże się, że ofert jest o 8,1 tys. mniej, czyli ich liczba skurczyła się o 17,6 proc. Mamy więc gospodarkę z 76,5 tys. bezrobotnych więcej niż rok temu, a pracodawcy zgłaszają o 8,1 tys. mniej wolnych miejsc pracy i miejsc aktywizacji zawodowej. To zapewne właśnie ten słynny rynek pracownika. Ale od czego mamy Eurostat. Według stosowanej przezeń metodologii bezrobocie wyniosło w Polsce w czerwcu zaledwie 3,1 proc. Czyli w jednym kraju można mieć jednocześnie 5,8 proc. bezrobocia według jednej miary i 3,1 proc. według drugiej. Obie liczby są przy tym prawdziwe. Dlatego gdy ktoś straci robotę, powinien przede wszystkim ustalić metodologię. Jeśli według jednej jest bezrobotny, zawsze pozostaje nadzieja, że według drugiej może jednak nie jest.

Według Eurostatu aż 27,5 proc. mieszkańców Unii nie było w stanie pozwolić sobie na tygodniowy wypoczynek poza domem. Na tle wielu państw Polska nie wygląda źle. Znajduje się w grupie krajów, w których problem jest znacznie mniejszy niż unijna średnia, choć co czwartego Polaka i Polki nie stać na tydzień laby. Najgorzej jest w Rumunii, gdzie na tygodniowy wyjazd nie może sobie pozwolić 58,6 proc. mieszkańców. Na drugim biegunie znajduje się Luksemburg. Tam problem dotyczy zaledwie 8,9 proc. Interesująco wygląda również porównanie z innymi wskaźnikami dobrobytu. Według Eurostatu Polska należy do krajów o jednym z najniższych odsetków osób zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym w Unii Europejskiej. Wynik wynosi 16 proc., podczas gdy średnia unijna sięga 21 proc. Jeszcze lepiej wyglądają dane dotyczące skrajnej deprywacji materialnej i społecznej. W Polsce wskaźnik ten wynosi zaledwie 2,3 proc., co należy do najniższych rezultatów w całej Unii. Na papierze wygląda więc na to, że Polacy żyją coraz dostatniej. Ale papier nie pokazuje, że można nie być zagrożony ubóstwem według Eurostatu, a jednocześnie przez cały rok odkładać pieniądze na kilka dni wypoczynku i że można regularnie opłacać rachunki, ale nie móc kupić dzieciom paru dni obozu.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przez blisko 70 lat w Kaliszu działała fabryka mrożonek Calfrost. Zmieniali się właściciele, zmieniały się realia gospodarcze, ale produkcja trwała. Aż jesienią 2023 r. zakład przejęła ukraińska firma Trzy Niedźwiedzie, producent lodów i mrożonej żywności. Produkcja zamarła, 50 osób straciło pracę. Pozostał teren i budynki. Kapitalizm po raz kolejny przypomniał, że nie ma pamięci ani sentymentów. Właściciel tłumaczył decyzję słowem „nierentowność". Po zakończeniu produkcji nieruchomość została wystawiona na sprzedaż za niemal 13 mln zł. Kupca jednak nie było. Ostatecznie cena zjechała do 5,8 mln zł. Gdyby ktoś próbował sprzedać mieszkanie i w ciągu kilku miesięcy obniżył cenę o ponad połowę, uznano by to za desperację. W biznesie nazywa się to dostosowaniem do realiów rynku. Nowym właścicielem został polski przedsiębiorca. Nie kupił jednak działającej fabryki, lecz teren z zabudowaniami, bo w międzyczasie rozpoczął się demontaż urządzeń chłodniczych. Właśnie wokół tej kwestii narósł największy spór. Kupujący twierdził, że chciał wcześniej sprowadzić specjalistów, aby ocenili wartość wyposażenia, ale nie zdążył tego zrobić. Sprzedający utrzymywali, że kupujący wiedział o planowanym demontażu urządzeń jeszcze przed zawarciem transakcji. Summa summarum część budynków została rozebrana, a pozostałe przeznaczono na magazyny. Bo we współczesnej dynamicznie rozwijającej się, wedle rządu, polskiej gospodarce, magazyn przynosi stabilniejszy dochód niż produkcja.

Gdy tylko kurz po lekarskich wynagrodzeniach zaczął w mediach opadać, reflektory skierowano na pielęgniarki. Według danych Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji w czołówkach pojawiła się informacja o wynagrodzeniu sięgającym 24 tys. zł brutto miesięcznie. Padła też mediana wynagrodzenia w najwyżej zaszeregowanej grupie pielęgniarek na poziomie 15 305 zł brutto miesięcznie. W grupie piątej mediana wynosi 12 322 zł brutto, a w szóstej 10 920 zł brutto. Dowiadujemy się również, że najczęściej spotykane wynagrodzenia w grupie drugiej mieszczą się pomiędzy 15 tys. a 15,5 tys. zł brutto, w grupie piątej pomiędzy 12,5 tys. a 13 tys. zł, zaś w grupie szóstej od 11 tys. do 11,5 tys. zł brutto. Podstawą zaszeregowania pielęgniarek jest przede wszystkim poziom wykształcenia. W przypadku grupy drugiej wymagany jest tytuł magistra. Z raportu dowiadujemy się również, że 72 proc. pielęgniarek pracuje na etacie, 16 proc. wykonuje zawód, pracując na śmieciówkach, a około jedna dziesiąta pracuje na kontraktach. Fajnie, tylko że te dane niewiele mówią. Czy mediany obejmują wyłącznie osoby zatrudnione na jednym etacie, czy uwzględniają pielęgniarki dorabiające w drugim albo trzecim miejscu pracy? Czy zsumowano wszystkie dochody osiągane przez jedną osobę, czy tylko wynagrodzenie z podstawowego miejsca zatrudnienia? Czy pokazano pełne miesięczne przychody konkretnej pielęgniarki, czy wyłącznie wypłatę od jednego pracodawcy? Odpowiedzi na żadne z tych pytań nie znajdziemy. Statystyka jest znakomitym narzędziem, ale tylko pod tym jednym warunkiem, że wiadomo, co mierzy.

Gdyby jednak było rzeczywiście tak dobrze, jak wynika z opowieści o rosnącym dobrobycie Polaków, to trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego ponad połowa z nas ostatni remont wykonała własnymi rękami albo przy pomocy rodziny i znajomych. Bo aż 55 proc. nie zdecydowało się oddać całej roboty zawodowym ekipom. 30 proc. zakasało rękawy całkowicie samodzielnie, kolejne 25 proc. poprosiło o pomoc rodzinę lub znajomych, a tylko 24 proc. mogło pozwolić sobie na luksus zlecenia wszystkiego fachowcom. Pozostałe 20 proc. zastosowało rozwiązanie pośrednie. Trudniejsze prace zostawiło specjalistom, a całą resztę zrobiło samo. Gdyby wierzyć reklamom, byłby to przejaw nowej mody na majsterkowanie. Tyle że moda zazwyczaj pojawia się tam, gdzie jest nadmiar pieniędzy. Tutaj zaś wszystko wskazuje na to, że chodzi raczej o ich brak. Szczególnie widać to po właścicielach domów. Aż 36 proc. z nich wykonuje remonty samodzielnie. Wśród właścicieli mieszkań odsetek ten wynosi już tylko 25 proc. Z kolei pełne zlecenie prac fachowcom deklaruje 30 proc. właścicieli mieszkań, ale zaledwie 18 proc. właścicieli domów. Dom oznacza większą powierzchnię, a im większy rachunek za robociznę, tym większa pokusa, aby powiedzieć „dam radę". A skoro internet przekonuje, że wszystko można zrobić samemu, to wielu ludzi rzeczywiście próbuje. Połowa badanych wydała na remont nie więcej niż 15 tys. zł, czy zatem remonty nagle potaniały? Nic podobnego. Dawniej remont był wymianą wszystkiego od instalacji po okna. Dzisiaj oznacza przemalowanie ściany, zmianę lampy, nowe zasłony i przesunięcie kanapy pod drugą ścianę. Czterech na 10 badanych deklaruje, że przynajmniej raz w roku zmienia dekoracje lub elementy wystroju wnętrza. 30 proc. po prostu przestawia meble. Jest taniej, szybciej i nie trzeba wynosić połowy mieszkania na klatkę schodową. A człowiek ma poczucie, że jest bohaterem domu.

TTJ

eprasa.pl 059cca5cd1

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Bardzo często rzeczy, które dzieją się z uderzaniem w chrześcijaństwo, są pokazywane jako odrębne ataki, jakby to była jakaś wojna pozycyjna. To jest zaplanowana walka ideologii z chrześcijaństwem.*** *Ona polega nie tylko na tym, że eliminuje się chrześcijaństwo i jego nauczanie dotyczące życia. (…)* ***Jesteśmy na wielkim froncie i mamy radykalnie opowiadać się za wartościami, które płyną z Ewangelii i nauczania Kościoła, bo tylko one dają nam życie wieczne.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 12 sierpnia

■ ***Dokąd może zaprowadzić człowieka i ludzkość cywilizacja śmierci?*** *Jeżeli dzisiaj w medycynie zmienia się znaczenie słów i kształci się lekarzy w ten sposób, że przysięga Hipokratesa nie ma żadnego znaczenia, a jeżeli ma, to nadaje się jej nową treść, tzn. dziś ratujemy cię przez eutanazję, pomagamy ci przez tzw. aborcję.* ***Przykład Kanady pokazuje nam, iż mamy już tak przerobione społeczeństwo, które boi się reagować, bo zostanie nastygmatyzowane, bo nie wolno poruszać pewnych kwestii, ale dlaczego? Właśnie dlatego, że wynikają z katolickiej i chrześcijańskiej wizji człowieka.***

dalej Dąbrowski

■ *Modlitwa w intencji głowy państwa.* ***Wszechmogący Boże, od Ciebie zależy wszelka władza, wspieraj swego sługę Karola, którego postawiłeś na czele naszego kraju, aby spełniając wszelkie obowiązki, kierował się Twoją wolą i zapewnił powierzonemu sobie ludowi wolność, ład i pokój.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 6 sierpnia

■ *Dziękujemy dziś za ludzi dobrej woli, którzy teraz, dzisiaj, w różny sposób wspierają zorganizowane dobro.* ***Przywołajmy wielką Rodzinę Radia Maryja i dzieła, które powstały – telewizja, prasa, Akademia, miejsca pamięci naszej tożsamości. Tu się uczymy historii, tu zgłębiamy wiarę, tutaj dostrzegamy struktury dobra, które mają się przeciwstawiać i zwyciężać struktury zła. Wszystkie dzieła atakowane przez zorganizowane zło, które chce zatrzeć każdy ślad Boga na świecie, w narodach, a zwłaszcza człowieka, przejmując kłamstwem serca i umysły, są jeszcze wciąż żywe. (…) Modlimy się za nich (…). Może i oni, kiedy zobaczą uśmiercaną ojczyznę, zabijane dzieci i starców, kiedy zobaczą zamykane kościoły i bezsens życia, kłamstwo, oszustwo, może zobaczą świat inaczej.***

ks. bp Józef Szamocki, homilia, Sanktuarium NMP Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II, Toruń, 8 sierpnia

■ *Pewnie wszyscy słyszeliście historię o baronie Münchhausenie, który był tak zaradny, niezależny i samowystarczalny, iż kiedy utknął w bagnie, a był w zbroi rycerskiej, sam przy pomocy własnej ręki chwycił się za kłaki i wyciągnął się z tego bagna. Wiemy, że to jest niemożliwe.* ***Rodzina Radia Maryja to wspólnota ludzi, którzy zdają sobie sprawę z tego, iż są bezradni i potrzebują Bożej pomocy, Kogoś, kto ich wyciągnie z otchłani śmierci, Kogoś, kto przez swoją miłość i miłosierdzie potrafi nadać nowy sens życiu, nawet jeśli zostało zagubione.***

o. Dariusz Paszyński CSsR

■ *Podstawowym założeniem było dla mnie to, by monument był oszczędny w formie, a wielki w treści. (…) To jest obiekt na XXI wiek, w którym wszyscy jesteśmy tak głęboko pogubieni. (…)* ***Myślę, że to obiekt na te czasy. I dlatego skrótowo nazywam go MB21, czyli Matka Boska XXI wieku. (…) Starsi znają drogę do Kościoła. Młodzież jest teraz pogubiona, oddaje wolną wolę za gadżety. Ta Matka Boska ma być zatrzymaniem. Mogą do niej przyjść i zastanowić się, jakie są prawdziwe wartości, gdzie jest prawdziwe szczęście. Świat zwariował, a Ona ma nas zatrzymać. Takie jest moje przesłanie.***

Adam Kuba Matejkowski, rzeźbiarz pomnika Matki Boskiej w Konotopiu, wPolityce.pl, 13 sierpnia



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Purpurat liczy zielone z czerwonymi

Ryś biznesu

„Największe kontrowersje budzi fakt, że na czele komisji stanie Jerzy Hausner, w czasach PRL wieloletni członek PZPR, po 1989 r. związany z SLD" – oburzał się portal wPolityce.pl.

Polska myśl ekonomiczna została doceniona w Watykanie. Leon XIV mianował metropolitę krakowskiego Grzegorza Rysia członkiem swojej Rady ds. Ekonomii. 15-osobowe grono złożone z ośmiu duchownych i siedmiorga świeckich ma czuwać nad przejrzystością watykańskich finansów i podpowiadać papieżowi, co należałby w tej kwestii usprawnić.

Watykańskie zasoby to od lat – a właściwie od wieków – przedmiot dociekań i spekulacji. Pozostające poza normalną dla innych krajów kontrolą finanse stanowią zagwozdkę nawet dla samych papieży, którzy rzadko bywają dobrymi księgowymi. Niejeden chciał te kwestie uporządkować, choćby po to, żeby ludzie nie gadali i nie obrażali się na Kościół. No i żeby urzędnicy Kurii Rzymskiej nie panoszyli się za bardzo, bo niektórzy dysponowali takimi budżetami – i, co za tym idzie, wpływami – że sam papież mógł im skoczyć. A to w końcu on firmuje swoją gębą wszystko to, co się w Watykanie dzieje.

Swoją próbę reform Kurii Rzymskiej i watykańskich finansów podjął Franciszek – i przegrał. Wewnętrzna opozycja i bojkotowanie jego starań w Watykanie sprawiły, że pod koniec pontyfikatu finanse papieskie były w coraz gorszym stanie. Sam Bergoglio zabierał się do tego od dupy strony: lubił demonstracyjnie ciąć wynagrodzenia i przywileje dostojnikom, powodując jeszcze większy ich wkurw. Jeśli zaś idzie o rozwiązania (modne ostatnio słowo) systemowe, to szło mu gorzej.

Twarzą i rękoma gruntownej reformy był nieżyjący już australijski kard. George Pell. Swoją misję rozpoczął w 2014 r. i odkrył, że (cóż za zaskoczenie) setki milionów euro porozpływały się po dziwnych kontach. Pell chciał centralizacji zarządzania papieską forsą, co oczywiście nie spodobało się watykańskim książętom na niezależnych włościach. Zupełnym przypadkiem kard. Pell w 2017 r. został wezwany do Australii, by tłumaczyć się z domniemanego molestowania seksualnego. Spędził 13 miesięcy w więzieniu o zaostrzonym rygorze, ale w 2020 r. został całkowicie uniewinniony. Po wyjściu z puchy nie wrócił już ani do zdrowia, ani tym bardziej do naprawiania finansów.

Swoją wizję zarządzania finansami ma też Leon XIV. Amerykanin jest zapewne bardziej praktyczny niż poprzednik, w końcu był generałem zakonu augustianów, potem biskupem w Peru, a na końcu prefektem Dykasterii ds. Biskupów – z różnorodnego doświadczenia wie, jak płyną pieniądze w Kościele.

Pierwsze bilanse wychodzą na plus: Prevost jest popularny, a jego „marka osobista" przynosi Watykanowi sporo korzyści. Przestali się dąsać amerykańscy darczyńcy, którzy sarkali na Argentyńczyka Franciszka, i od jankesów znów płyną dolce. Nawet osobisty konflikt Prevosta z Trumpem nie szkodzi kolejnym przelewom, a może wręcz przeciwnie.

Leon XIV znowuż odchodzi od centralizacji i pozwala poszczególnym jednostkom na większą swobodę w dysponowaniu budżetem. Odświeżył teraz skład wspomnianej Rady ds. Ekonomii. Trudno darować sobie smaczek, że jej koordynatorem pozostaje od 2014 r. Marks. Tak konkretnie: kardynał Reinhard Marx. Żeby było jeszcze zabawniej, do rady dołączyła na zaproszenie Prevosta księżniczka Gisela Bergmann z Liechtensteinu.

Leon XIV – jak prawdziwy Amerykanin – myśli o swoim przedsięwzięciu w kategoriach biznesowych. Obecność Marxa w tej radzie jest nieprzypadkowa – to jedna z najważniejszych postaci niemieckiego Kościoła, a tenże Kościół to jeden z najbogatszych i najlepiej zarządzanych pod względem finansowym Kościołów lokalnych.

Co zatem robi w tym banksterskim gronie kard. Grzegorz Ryś? Jego misja w Krakowie od początku wiąże się z pieniędzmi. Gdy przyszedł przejąć władzę od Jędraszewskiego, niemal od razu zarządził audyt finansów archidiecezji, powierzając to niekościelnym specjalistom. Z audytu wynika, że Jędraszewski wcale nie rządził tak źle, bo kuria jest w stabilnej sytuacji finansowej i nie ma długów. Pod raportem podpisał się Jarosław Bauc, minister finansów w rządzie


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

AWS, kojarzony z pojęciem „dziury Bauca". Chodziło o ogromny deficyt sektora finansów publicznych w Polsce, który latem 2001 r. tenże minister w rządzie Jerzego Buzka prognozował. To czarnowidztwo zapewniło mu dymisję i utorowało drogę do zwycięstwa SLD. Bauc dziury Jędraszewskiego nie wykrył.

Ryś w kwestii finansów większe zaufanie ma do ludzi w garniturach niż w sutannach. Nowym ekonomem archidiecezji krakowskiej został były wojewoda nowosądecki i kanclerz Politechniki Krakowskiej Lucjan Tabaka. Dotychczas pieczę nad kurialną kasą sprawowali tylko księża.

Co więcej, Ryś powołał komisję, która bada sposób zarządzania majątkiem jednej z najbogatszych parafii w Polsce – parafii mariackiej w Krakowie. Na prawicy zawyli nie tyle na samą wieść o komisji (choć po części podważa ona kompetencje Jędraszewskiego), ile na wiadomość o tym, kto będzie przewodniczył temu gremium.

„SLD zbada finanse Kościoła… i to na prośbę Metropolity" – smucił się w mediach społecznościowych Sławomir Cenckiewicz, były szef BBN. Komusza proweniencja Hausnera była kolejnym przyczynkiem do uderzenia w Rysia, z którym prawica i tak już ma na pieńku, choćby w kwestii żydowskiej.

Parafia mariacka to osobny wątek towarzysko-finansowy. W 2024 r. abp Jędraszewski odwołał jej proboszcza ks. Dariusza Rasia, prywatnie brata posła i wiceministra sportu Ireneusza Rasia. Duchowny pojawił się ostatnio w mediach jako ten, który od brata swego kupił dwie mikrokawalerki w Łodzi i je wynajmuje. Ks. Raś był pupilem Dziwisza, przez pewien czas nawet Dziwiszem Dziwisza, czyli osobistym sekretarzem kapciowego Wojtyły. Jędraszewski postanowił się go pozbyć i wstawić do parafii mariackiej swojego człowieka. Nawet dawne kontakty nie pomogły i Watykan podtrzymał decyzję Jędraszewskiego o odwołaniu ks. Rasia z posady. Być może komisja Hausnera go zrehabilituje.

W każdym razie Ryś ma co robić. Jak stwierdził kiedyś wywodzący się z Krakowa, do niedawna rządzący w Warszawie kard. Kazimierz Nycz: „My jesteśmy biedną diecezją, nie to co Kraków. Tam są pieniądze, diecezja bogata, a tu trzeba dbać o zasoby". Archidiecezja krakowska na biedę nie narzeka, a tam, gdzie pojawiają się większe pieniądze, pojawiają się też większe cwaniaki. Papież, widocznie doceniając buchalterską i menedżerską sprawność naszego rodaka, dołożył mu obowiązków. Po nominacji do papieskiej Rady ds. Ekonomii wrogowie Rysia znów mają używanie, że oto potwierdzają się ich przypuszczenia co do żydowskich korzeni kardynała, bo przecież wiadomo, kto najlepiej zna się na pieniądzach...

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Dyspensa polityczna

Mięsko zjedz, ziemniaczki zostaw, jeśliś katolik

Okazało się, że największe wpływy wśród kleru mają w Polsce Mateusz Morawiecki i piosenkarz Skolim. Obaj dostali dyspensy na organizowane przez siebie imprezy, przy czym śpiewak handluje kiełbasą sygnowaną swoim pseudonimem, więc bez dyspensy melanż straciłby sens.

Są jeszcze takie momenty, kiedy biskupi mogą poczuć się ważni. Zdarzają się one głównie wtedy, gdy na horyzoncie pojawia się długi weekend i potrzeba mięsnej wyżerki w piątek. Biskupi ochoczo włączyli się do medialnej gry – informacje o tym, że ten czy ów purpurat pozwolił lub nie na jedzenie mięsa, zawsze budzą emocje. Oburzenie na dyspensy lub wyśmiewanie ich stało się nieodłącznym elementem przygotowań do długiego weekendu. Marynowanie karkówki i chłodzenie piwa w akompaniamencie drwin z biskupa to nowa kościelno-świecka tradycja.

Biskupi nie mają wspólnej polityki udzielania dyspens. Stąd też zdarzało się, że po jednej stronie Wisły w Warszawie wierni mogli się opychać kiełbą, a po drugiej już nie, bo w stolicy są dwie diecezje. Zdezorientowanym owieczkom służą pomocą specjalne strony na Facebooku, gdzie odnotowywane są biskupie akty łaski dla mięsożerców z podziałem geograficznym zaznaczonym na mapie. Ekscelencje przypominają zawsze, że szaszłyka można opierdolić tylko pod warunkiem że się w zamian pomodliło albo dało jałmużnę. Nic za darmo.

Morawiecki zaś na swojego grilla zapraszał katolików, więc też potrzebował pozwolenia na pieczenie mięsa. Skolim dostał dyspensę od proboszcza, Morawiecki – od biskupa. „Dla osób wierzących mamy ważną informację: na czas wydarzenia została udzielona dyspensa" – poinformowało stowarzyszenie (o ironio) Rozwój Plus.



Rys. WIDGET

Mateusz Morawiecki coś ma z tym postem. W 2017 r., gdy okazało się, że będzie premierem, tabuny pochlebców zaczęły mu pisać hagiografie. Igor Janke, autor m.in. książkowej opowieści o Solidarności Walczącej, opowiadał w założonym przez siebie Salonie24: „Pamiętam pewną kolację, na którą przyjechał z daleka. Gospodyni chciała mu zrobić przyjemność i specjalne przygotowała ukraińskie pierogi z wieprzowiną – pielmieni. Zapomniała, że to piątek, i nie wiedziała, że gość jako człowiek głęboko religijny przestrzega cotygodniowego postu. Choć wszedł do domu gospodarzy późno wieczorem, głodny, prosto z podróży, podczas kolacji obgryzał tylko ciasto z pierogów. Uczestnicy kolacji przekonywali go, że w związku z podróżą może mieć dyspensę, ale pozostał przy skrawkach ciasta. Gospodyni była bardzo niepocieszona i zakłopotana"…

W tym kontekście Morawiecki jawi się jako przeciwieństwo psa ogrodnika: sam nie zje, ale innym da. Nie tak błahe rzeczy załatwiał były premier z Kościołem. Może i Morawiecki ma – jak twierdził kiedyś Jarosław Kaczyński – kable zamiast żył, ale płynie w nich katolicki prąd. Pewnie na tę intencję w 2018 r. ówczesny minister energii Krzysztof Tchórzewski na Jasnej Górze zawierzył „wszystkie sprawy energetyki, jej rozwój i unowocześnienie" Matce Boskiej.

Mniej napuszony jest Skolim. Gdy dostał dyspensę, po prostu poinformował swoich fanów, że „jest przepięknie, a będzie idealnie. Zapraszamy wszystkich. Ksiądz Zbigniew Płachta zapewnił nam tu dyspensę. W ten piątek można jeść kiełbę skolimową i kaszankę. Bez obaw, że diabełek złapie nas za szyję i walnie nami o posadzkę". Już lepsze to od opowieści o pierogach i dawanie po kablach.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 059cca5cd1

Memoriał i wspomnienia

Kamilę Skolimowską poznałem, ale ona mnie nie, bo była za mała.

W najbliższy weekend na pięknym nowym Stadionie Śląskim w Chorzowie odbędzie się najważniejsza lekkoatletyczna impreza w naszym kraju – Silesia Memoriał Kamili Skolimowskiej.

Kamila Skolimowska była młociarką – jak dość niefortunnie w gwarze sportowej nazywa się lekkoatletki rzucające młotem. Akurat w tej konkurencji byliśmy długo potęgą. Anita Włodarczyk trzykrotnie wygrywała igrzyska olimpijskie i czterokrotnie mistrzostwa świata. Wspaniała passa zakończyła się podczas niedawnych mistrzostw Europy w Birmingham, z których zarówno młociarki, jak i młociarze wrócili bez medalu. Ponad 40-letnia Anita Włodarczyk była czwarta.

Memoriał Kamili

Historię wspaniałych sukcesów w Polsce zaczęła właśnie Kamila Skolimowska, która pierwsze mistrzostwo kraju zdobyła w 1996 r., bardzo skromnym jak na dzisiejsze wyniki rezultatem 43,5 m. Krajowe mistrzostwo powtarzała później aż 12 razy. Największy sukces odniosła podczas igrzysk olimpijskich w Sydney w 2000 r. Niespodziewanie zdobyła złoty medal w wieku zaledwie niespełna osiemnastu lat wynikiem 71,16 m. Została najmłodszą polską mistrzynią igrzysk, co przyniosło jej wielką popularność. Tym większą, że sukces był zupełnie niespodziewany, bo złotych polskich medalowych szans upatrywano gdzie indziej.

Kontynuując wspaniałą karierę sportową, Kamila nie zaniedbywała nauki na wyższej uczelni. Była wzorem pod każdym względem.

Śmierć młodej lekkoatletki przyszła niespodziewanie podczas zgrupowania w Portugalii. Zmarła w wieku zaledwie 27 lat, w momencie, gdy świat stał przed nią otworem. Podczas treningów w Villa Real de Santo António poczuła ból w nodze. Lekarz nie zlecił żadnych badań, doradził masaż. Tymczasem w żyle lekkoatletki pojawiła się zakrzepica, bardzo niebezpieczne schorzenie, a masaż był najgorszym pomysłem.

Wiem coś o tym, bo zakrzepica wdała się także w moje starzejące się udo. Na szczęście lekarka domowa wykazała się fachowością, natychmiast kazała zawieźć pacjenta do szpitala, gdzie poinformowano mnie, iż oczywiście mogę odmówić położenia się na oddziale, ale muszę podpisać oświadczenie, że zostałem poinformowany o bezpośrednim zagrożeniu życia. (Widać musieli mieć tam podkładkę, gdyby stało się najgorsze). Jeśli zakrzep ruszy z miejsca, może dotrzeć do płuc, serca lub mózgu. Leczenie ambulatoryjne trwało pół roku, po czym badanie kontrolne wykazało, że nie tylko jestem zdrowy, ale nawet nie mam w udzie najmniejszej podejrzanej żyłki. Masaż, który zaordynowano młociarce spowodował natomiast, że zakrzep w żyle przemieścił się i dotarł do płuc.

Po śmierci Kamili, która była szokiem i okryła żałobą nie tylko jej rodzinę i kibiców, ale też entuzjastów sportu na całym świecie, zorganizowano w Warszawie zawody rzutu młotem kobiet i mężczyzn, które poświęcono jej pamięci. Miała to być jednorazowa impreza na boiskach rzutowych warszawskiej Skry. Nikt nie przypuszczał, że po 17 latach obiekt Skry w Warszawie będzie ruiną, a na przepięknym, odnowionym (w zasadzie wybudowanym od nowa) Stadionie Śląskim w Chorzowie odbywać się będzie co roku Memoriał Kamili Skolimowskiej, na którym startować będą największe gwiazdy światowej lekkoatletyki. Organizatorzy dokonali czegoś, co naprawdę można uznać za cud. Rzadko w tym miejscu chwalę działaczy sportowych, ale naprawdę muszę się im nisko ukłonić.

Diamenty dla gwiazd

Lekkoatletyka przestała być zajęciem dla grup amatorów. Trudno podać dokładną datę, w której pojawiły się tam wielkie pieniądze, bo następowało to stopniowo. Dziś sport ten stał się – podobnie jak prawie wszystkie inne – biznesem, a znani zawodnicy nie chodzą w podartych dresach, ale jeżdżą drogimi samochodami. Najlepsi z najlepszych mieszkają w Monako.

Jeśli chce się zgromadzić na starcie gwiazdy, trzeba im dobrze zapłacić, a w zamian dostanie się gotówkę z reklam, sprzedaży praw do transmisji telewizyjnych i biletów na stadiony. Nawiasem mówiąc, bilety na Memoriał Kamili Skolimowskiej kosztują w zależności od miejsca na trybunach od prawie 200 do niespełna 50 zł.

Organizowanie zawodów w formie cykli pucharu świata nie jest oryginalnym pomysłem Międzynarodowej Federacji Lekkiej Atletyki (World Athletics); stosuje się ten system w wielu sportach, nie we wszystkich z dobrym skutkiem. W lekkiej atletyce sprawdził się znakomicie, zwłaszcza gdy zaczęto przeprowadzać mityngi Diamentowej Ligi (zastąpiła mniej udany projekt Złotej Ligi).

Począwszy od 2010 r. w sezonie rozgrywana jest seria co najmniej 12 jednodniowych mityngów. Podczas wszystkich zawodnicy zbierają punkty, a na koniec cyklu liderzy w swoich konkurencjach otrzymują diament wartości co najmniej 80 tys. dolków.

Fajny chwyt marketingowy. Teraz lekkoatletyka nie kojarzy się, jak większość sportów, z kolorem złotym, lecz z diamentem. Kibice mogli zauważyć, że podczas zakończonych niedawno mistrzostw Europy w Birmingham niektóre zawodniczki miały wpięte we włosy diamenciki – jak zgaduję, sztuczne.

Organizatorzy Memoriału Kamili Skolimowskiej długo zabiegali, aby swój mityng włączyć do cyklu Diamentowej Ligi. Trzeba było przekonać World Athletics, że potrafią przeprowadzać zawody perfekcyjnie i bez wpadek oraz że mają wystarczająco dużo pieniędzy od sponsorów na nagrody dla zawodników. Udało się i począwszy od 2022 r. Memoriał Kamili Skolimowskiej zaliczany jest do Diamentowej Ligi.

Taka nobilitacja daje pewność, że na starcie pojawią się największe gwiazdy światowej lekkoatletyki – ze szwedzkim tyczkarzem nie z tej planety, wielokrotnym rekordzistą świata Armandem Duplantisem na czele.

Pocztówka z Moskwy

Każda największa gwiazda stadionów lekkoatletycznych, o ile tylko nie ma kontuzji, przyjeżdża na zawody Diamentowej Ligi. Żal byłoby tracić okazję do zdobywania punktów i szansę na odebranie cennego kamienia. Podczas mityngu uzyskuje się zwykle znakomite rezultaty. W biegach stosuje się (niedozwoloną podczas igrzysk olimpijskich, czempionatów świata i kontynentów) pomoc tzw. zajęcy: zawodniczek i zawodników opłaconych tylko za to, że na pierwszych metrach podyktują odpowiednie, ustalone z góry tempo. Po wykonaniu pracy schodzą z bieżni.

Pobicie rekordu Diamentowej Ligi, nie mówiąc już o rekordzie świata, nagradzane jest dodatkową premią pieniężną. Daje to organizatorom powód do dumy, bo wynik idzie w świat, ale też nakłada dodatkowe obciążenie finansowe.

Lekkoatletyka nie należała do sportów, których opisywanie należało do moich głównych obowiązków. Ta dyscyplina miała swoich wyspecjalizowanych dziennikarzy, biegłych w tabelach wyników i w statystykach. Proszę pamiętać, że długo żyłem i pracowałem w przedinternetowych czasach; dziś jednym kliknięciem można odnaleźć wszystko, co jest niezbędne. Ale i tak oglądałem oraz opisywałem niesamowity skok o tyczce i rekord świata Władysława Kozakiewicza, a także zwycięstwo w biegu na 3000 m przez przeszkody Bronisława Malinowskiego podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. Tu żadne tabele statystyczne nie były potrzebne. Liczyła się tylko czysta radość polskiego obserwatora.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie miałem przyjemności porozmawiania z Kamilą Skolimowską, której pamięć tak pięknie przypominają organizatorzy mityngu w Chorzowie. Od kolegów dziennikarzy sportowych wiedziałem tylko, że jest przemiłą i mądrą młodą dziewczyną.

Kamilę Skolimowską widziałem, gdy miała jakieś trzy latka. Jej ojca poznałem podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r., na których on startował, a ja to opisywałem dla gazety. Robert Skolimowski był sztangistą wagi superciężkiej, w której nie obowiązuje górny limit. Ci siłacze dźwigają niesamowite ciężary. Zawsze mi imponowali.

Nie skłamię, że z Robertem Skolimowskim łączyła mnie jakaś bliższa znajomość. Była to znajomość ściśle służbowa i przelotna; ja wiedziałem, kim on jest, on wiedział, kim ja jestem. Zamieniliśmy w Moskwie może kilkanaście zdań.

W każdym razie, gdy parę lat później spotkaliśmy się w Warszawie, serdecznie się pozdrowiliśmy: „Cześć, cześć". Robert był z maleńką córeczką. Wyglądało to zabawnie, bo siłacz trzymał dziecko na jednej dłoni. Gdybym wówczas mógł wiedzieć, że olimpijczyk z Moskwy zaciągnął do wody przyszłą mistrzynię olimpijską z Sydney!

Wszystko działo się na pływalni Legii w Warszawie. Legia była – jak to się teraz mówi – kultową miejscówką.

Ech, ta Legia!

Tylko starsi Warszawiacy pamiętają, czym w rzeczywistości był basen Legii przy ul. Łazienkowskiej. Przedwojenny obiekt został definitywnie zamknięty w 1987 r., ale już dużo wcześniej stracił swój magiczny blask. Ale był taki czas, kiedy pływalnia Legii służyła nie tylko – a nawet nie przede wszystkim – pływaniu i kąpielom słonecznym. Była jednym z najważniejszych miejsc spotkań towarzyskich stolicy. Najbardziej znanymi postaciami byli tam poetka Agnieszka Osiecka i lekkoatleta Andrzej Badeński – bo sportowcy w PRL też zaliczali się do elity. Aktorzy, pisarze, intelektualiści lubili pokazywać się w ich towarzystwie.

Poszczególne grupy i warstwy społeczne miały na Legii swoje miejsca, w których rozkładały koce lub leżaki. Pamiętam ten najbardziej ekskluzywny sektor, zajmowany przez nieznanych mi osobiście aktorów, playboyów, prywaciarzy, ale – co najważniejsze – najpiękniejsze Warszawianki ubrane w eleganckie kostiumy kąpielowe zachodniej produkcji. Ja z moimi kolegami nie mieliśmy tam prawa wstępu. To znaczy: nikt oficjalnie nam tego nie zabraniał, ale po prostu sami wiedzieliśmy, że obecność w takim miejscu byłaby wysoce nietaktowna. I tak mieliśmy się lepiej niż motłoch, który rozwijać mógł swoje plażowe sprzęty daleko za wieżą do skoków do wody. Egalitaryzm obowiązywał w PRL, ale nie na basenie Legii.

Nie byłem, jak wspomniałem, w najgorszej sytuacji. Wraz ze znajomymi rozkładałem koc w pobliżu zakazanej strefy, wypinałem tors na promienie słoneczne i – przyznaję się – zerkałem na piękne, zgrabne dziewczęta z elity.

Tym, co najbardziej podniecało uczniaków, nie było to, co widzieli obok siebie, ale to, czego nie widzieliśmy i mogliśmy sobie tylko wyobrazić. Na dachu klubowego budynku mieściło się mianowicie solarium. Rosły były zapaśnik (pan Kazio, jeśli dobrze pamiętam) – też jedna z najpopularniejszych postaci basenu Legii – pilnował, żeby nie prześliznął się tam męski osobnik. Nikt nawet nie miał prawa zbliżyć się do płóciennych płacht zasłaniających miejsce na dachu, gdzie opalały się topless atrakcyjne bywalczynie Legii. Gdy my, licealiści, widzieliśmy smukłą, opaloną dziewczynę udającą się w stronę solarium, wyobraźnia zaczynała pracować i trzeba się było uspokoić, leżąc na brzuchu, zanim odważyło się wstać z koca i szukać ukojenia w zimnej wodzie basenu.

O normalnym pływaniu nie mogło być mowy. Jeśli ktoś zdecydował się na kraula, zaraz trafiał ręką w głowę sąsiada. Ścisk był jak w trolejbusie. W trolejbusach i tramwajach podówczas ludzie chodzili sobie po palcach stóp, a na schodkach zwisały tzw. winogrona. Nic dziwnego. Legia była chyba jedyną powszechnie dostępną pływalnią w całej stolicy PRL. Wyczynowi sportowcy mieli wyznaczony jeden tor i tam mogli zaliczać swoje kilometry, bez ryzyka kolizji z niewyczynowymi bywalcami.

Jeszcze o kostiumach kąpielowych. Magdalena Walczyk-Brzezińska z Muzeum Sportu i Turystyki wspomina, jak to kiedyś pływaczki dostały służbowe stroje z Węgierskiej Republiki Ludowej, podobne do tych, o jakich zawsze marzyły. Wrażenie psuła tylko węgierska metka. Jedna z pływaczek poszła po rozum do głowy, odpruła metkę i na jej miejsce przyszyła inną, zachodnią. Niestety, uszkodzony w ten sposób kostium puścił oczka. „Dziewczyna stanęła na słupku startowym – wspominała Magdalena Walczyk-Brzezińska – ubrana, że tak powiem, w samą metkę".

Coraz częściej się łapię na tym, że wszelkie tematy z aren sportowych przywołują mi na pamięć wydarzenia mojej młodości, a nawet z dzieciństwa. Cóż, to się chyba nazywa starzeniem. No bo kto dziś jeszcze pamięta atmosferę słynnego basenu Legii, na którego miejscu znajduje się obecnie betonowy parking?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 19.08.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 059cca5cd1

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Gdy Grzegorz Braun zdjął okulary, prezydent Karol Nawrocki przeżył rozczarowanie. Przypuszczał, że pod czarną przesłoną zobaczy bielmo, kataraktę, zaćmę albo przynajmniej zapalenie spojówek, tymczasem lewe oko Brauna niczym się nie różniło od prawego.

– Nie będę się pastwił nad panem – huknął lider Konfederacji Korony Polskiej głosem gromkim jak dźwięk tarabanów z polskiego hymnu – ani nad pana wiedzą historyczną.

– Może się pan pastwić – błyskawicznie zripostował prezydent. – Cieszę się taką popularnością w społeczeństwie, że ujdzie mi płazem każdy nonsens. Jeśli mówię, że dzielni polscy żołnierze bronili Monte Cassino, to tak było, jest i będzie po wsze czasy. Niech się pan ogarnie, panie prezesie.

Oto godna mnie persona, pomyślał Braun i założył okulary z piracką przesłoną na lewym oku, co czyniło go na wpół tajemniczym.

– Moja popularność w społeczeństwie też jest bez zarzutu – rzekł głośno, lecz już nie tak głośno jak poprzednio. – Nasza popularność powinna nas znacząco zbliżyć.

– Chodzi o pakt senacki? – zapytał Nawrocki i natychmiast tego pożałował. Przy Braunie powinien zachowywać werbalną powściągliwość i mentalną wstrzemięźliwość.

– Chodzi nie tylko o pakt senacki – odparł prezes KKP. – Chodzi o przyszłość narodu.

Naród, narodu, narodzie, narodem – w każdym przypadku to był miód na serce prezydenta. Ale sza! Poczekajmy, co jeszcze powie Braun.

– Postawię sprawę jasno – powiedział po chwili milczenia – zależy mi na politycznym uśmierceniu Kaczyńskiego.

– Kaczyńskiego? – zdziwił się Nawrocki, zanim połapał się, że nie powinien się dziwić.

– Kaczyński jako taki nic mnie nie obchodzi – ciągnął prezes. – Musi symbolicznie umrzeć jako wręcz emblematyczny lider ancien régime'u.

– Naród polski nie potrzebuje obcojęzycznych zwrotów – nie wytrzymał prezydent. – Na naszych sztandarach od tysięcy lat są bóg, honor i ojczyzna, a nie sejf czy ansjężeżim.

– Oczywiście – zreflektował się Braun. – Przepraszam. Po tej chwalebnej pana reakcji, panie prezydencie, widzę, że się dogadamy w każdej sprawie, a nie tylko uzgodnimy pakt senacki.

Nawrocki nie odezwał się, chociaż miał ochotę z radości zawołać po indiańsku „Juhuuu!".

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN i AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciły ze Spały całe zadowolone.





Fot. WŁODZIMIERZ MICHALAK

Wołk-Łaniewska: – No nie tak całkiem, bo Misia mi zabrali. Miś to był – wyjaśniam Czytelnikom – cudowny zatrzymany w czasie hotel, czy też raczej budynek FWP, z pełnym wyposażeniem z lat 70. A teraz go zamknęli, źli ludzie, i musiałam spać w takim wyremontowanym, co nawet pod prysznic wchodzisz bez klapek. Głębokie rozczarowanie.

Senyszyn: –Twój sentyment do Polski Ludowej chyba nieco przekracza granice zdrowego rozsądku…

– No coś ty, czymże są klapki pod prysznicem wobec możliwości powrotu do ojczyzny!

– Myślałby kto, że ty tak cały czas na wczasy FWP jeździłaś…

– Tak uczciwie powiedziawszy, to chyba nigdy nie byłam. A tu opowiadają, że w PRL dziennikarze byli pieszczochami reżimu…

– Zaraz, zaraz, ty chyba nie byłaś dziennikarzem w PRL?

– Ja nie, ale moi rodzice byli. To choroba dziedziczna, jak się okazuje. Wracając do Spały: rozczarowanie noclegiem wynagrodziły mi znakomite spotkania i debaty.

– To prawda, zwłaszcza dziękujemy wszystkim, którzy przyszli na nasz panel i powiedzieli nam, jakie ich zdaniem postulaty powinny się znaleźć w programie Nowej Fali.

– Ja je wszystkie wynotowałam i mam na karteczce.

– Tylko nie zgub. Może mi lepiej oddaj od razu.

– I tak mnie nie rozczytasz. Spiszę i wyślę ci mailem. A od razu ci powiem, że mój ulubiony to ten z ustawą o corocznym raportowaniu wszystkich środków publicznych, które trafiają do Kościoła kat.: wprost z budżetu, poprzez ministerstwa, samorządy, szkolnictwo, cokolwiek. Uważam, że to byłby absolutnie znakomity sposób na pogłębienie niechęci do papizmu, która i tak narasta w społeczeństwie w zawrotnym tempie.

– I wtedy by się okazało, że Fundusz Kościelny, o który jest tyle szumu, tak naprawdę ma znaczenie tylko dla bardzo małych Kościołów, które rzeczywiście pomagają ludziom, a dla katolickich klechów to jest na waciki.

– To raptem 270 mln zł rocznie.

– Jakiś jeden procent tego, co episkopat co roku dostaje i wyłudza z budżetów centralnego i samorządowych. A do tego ma jeszcze jakieś 2–3 mld z tacy, miliard za śluby i pogrzeby. W dodatku ten rząd wcale nie chce zlikwidować FK. Chce go przekształcić w odpis podatkowy, i to może nawet 2 proc., czyli więcej niż na organizacje pożytku publicznego. Czyli Kosiniak-Kamysz planuje zamiast 270 mln dać Kościołowi z budżetu dwa miliardy albo i więcej.

– A skoro już jesteśmy przy świeckim państwie i jego nieoczywistych, ale jednak widocznych postępach: uczcijmy zwycięstwo pani Agnieszki Kossowskiej z Opola, która po sześciu latach wygrała w sądzie z oszołomami pokazującymi wyskrobki na bilbordach.

– Tak jest. Sąd uznał, że jej autystyczny syn, który pierwszy raz zetknął się z tym przejawem miłości bliźniego, gdy miał 11 lat, został straumatyzowany przez antyaborcyjną propagandę i zasądził na jego rzecz 50 tys. zł odszkodowania oraz koszty procesu.

– Ja z zasady jestem przeciwna tego typu procesom, bo to bardzo amerykański pomysł: że każdą szkodę można wycenić w szmalu, który potem można od kogoś wyrwać w sądzie. Ale tym razem oczywiście kibicuję pani Agnieszce. Nawiasem mówiąc, obejrzałam sobie te plakaty i dla mnie one są komiczne: na jednym widnieje Hitler, który – jak to powiedzieć? – wychynowuje… Wychynywa?

– Już któryś raz w naszych dialogach niepotrzebnie silisz się na słowa, których użycie sprawia ci trudność. Wychynąć jest czasownikiem dokonanym, więc nie ma czasu teraźniejszego. Wyglądać – to jest odpowiednie słowo, z którego koniugacją nie ma problemu.

– Generalnie używanie słów w języku polskim nie sprawia mi trudności. A „wychynąć" i „wyglądać" – a w zasadzie „wyglądnąć" – to nie to samo: „wychynąć" brzmi do pewnego stopnia złowieszczo, podczas gdy „wyglądnąć" – nieco krotochwilnie. Jestem bardzo przywiązana nie tylko do merytorycznej precyzji języka, ale także do tego, żeby wyrażał nastrój tego, co chcę przekazać. Wracając do Hitlera: jest na wpół przesłonięty flagą UE, a obok widnieje zdjęcie krwawego wyskrobka i napis: „Parlament Europejski popiera prawo do aborcji dla Polek. Adolf Hitler zapewnił je już w 1943 roku".

– Leo Strauss nazywał to *reductio ad Hitlerum*. I już w 1953 r. napisał, że nie jest to trafna metoda prowadzenia sporu.

– A w 1990 r. jeden z prawniczych pionierów internetu, Mike Godwin, stworzył „prawo Godwina", które mówi, że wraz z trwaniem dyskusji w necie prawdopodobieństwo, że ktoś kogoś porówna do Hitlera, dąży do pewności. I jeszcze, że pojawienie się Hitlera w wątku dyskusji kończy wątek, a ten, kto Hitlera przywoła, przegrywa spór.

– Aktywiści antyaborcyjni nie czytali ani Straussa, ani Godwina.

– Ja podejrzewam, że nie czytali nawet Biblii, jedynie listy biskupie i ulotki Ordo Iuris.

– À propos czytania: jak ci się podobał doktor od historii i niegdysiejszy szef IPN, prezydent Nawrocki, który za wzór polskim żołnierzom dał hitlerowskich obrońców Monte Cassino: „Dzięki wychowaniu patriotycznemu mieliśmy świętego papieża Polaka Jana Pawła II, Zbigniewa Herberta i innych wielkich obrońców Monte Cassino, obrońców Westerplatte"?

– Po pierwsze: Herbert mógłby nie być zadowolony, zważywszy, z jaką proroczą precyzją opisał Karola Nawrockiego i jego poputczyków: „Zaiste ich retoryka była aż nazbyt parciana / (Marek Tulliusz obracał się w grobie) / łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy / dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu"… I tak, wiem, że on to pisał o komunistach…

– Ale do dzisiejszych nacjonalistów pasuje jak ulał.

– Prawda? I po drugie: pan prezydent miał rację.

– No teraz mnie zaskoczyłaś.

– „Wychowanie patriotyczne" stanowiło sporą część sukcesu propagandowego Hitlera i motywacji jego żołnierzy – między innymi obrońców Monte Cassino przed 2. Korpusem Polskim – którym bitności i odwagi nie sposób odmówić. Niestety. Co jest kolejnym i bardzo ważkim argumentem przeciwko nacjonalistycznej indoktrynacji młodzieży.

– To akurat nie ma nic wspólnego z wychowaniem patriotycznym, tak jak patriotyzm z nacjonalizmem. Pewnie nie pamiętasz mojej ulubionej definicji, że patriotyzm jest funkcją biedy. Nawet nie tyle materialnej, co mentalnej.

– Kapitał kulturowy – w definicji mojego ukochanego mędrca od stosunków klasowych Pierre'a Bourdieu – jest nie mniej ważny od kapitału materialnego, a już na pewno ułatwia jego pozyskanie. I w takim sensie bieda mentalna odgrywa tu oczywiście sporą rolę. Ale materialna bieda też wchodzi do tego rachunku: skąd ludzie, których nie stać na poznawanie świata, mają wiedzieć, czy ich ojczyzna rzeczywiście jest najlepsza na świecie?

– Najlepiej ilustrują to Amerykanie, z których połowa nie ma paszportu – ergo nie podróżuje za granicę – i ta sama połowa uważa, że USA to „najwspanialszy kraj na świecie"…

– Acz warto odnotować, że to się zmienia. Według badania YouGov sprzed pięciu lat mówiło tak 50 proc. Amerykanów; 31 proc. było innego zdania. Według sondażu opublikowanego w czerwcu tego roku przez Associated Press i NORC Center for Public Affairs Research, 44 proc. respondentów uważa, że Stany Zjednoczone to „jeden z najwspanialszych krajów na świecie, obok kilku innych", a prawie 30 proc. – że istnieją kraje lepsze. A do tego 51 proc. sądzi, że „amerykański sen mógł być rzeczywistością w przeszłości, ale dziś już nie ma racji bytu".

– Edukacja to wielka rzecz, ale Trump też ma istotny wkład w marsz Amerykanów po rozum.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 059cca5cd1